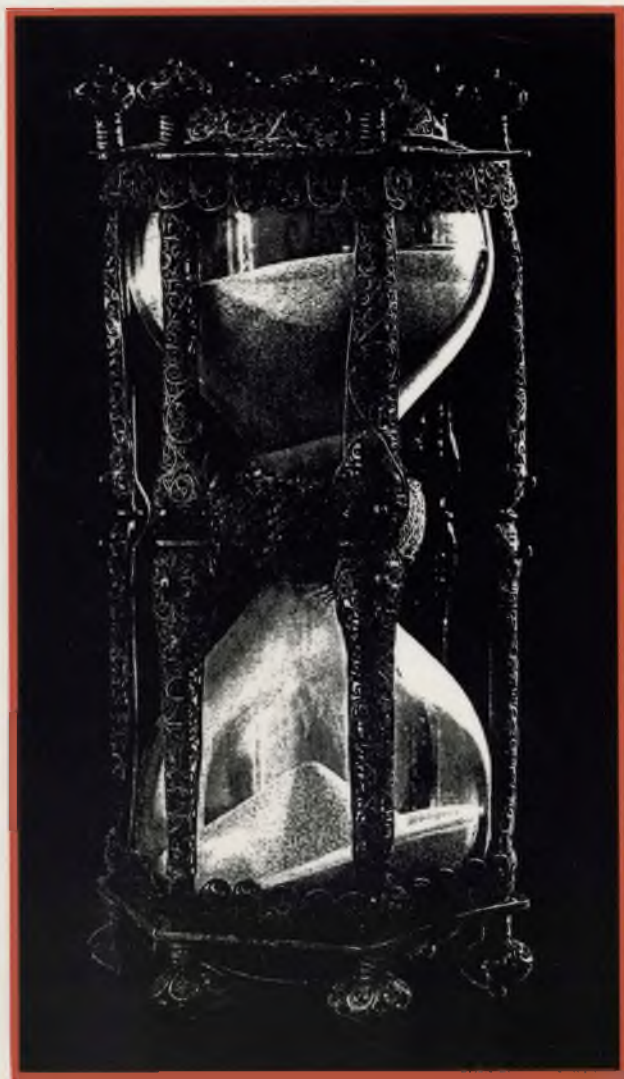


*Anna Gieniewska*



**POSMAK  
CZASU**

*Anna Gwienkowska*

**POSMAK  
CZASU**

Oficyna Wydawnicza  
Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury

BIAŁYSTOK 1996

*Redakcja:*  
Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

*Projekt okładki:*  
Kazimierz Falkowski

© Copyright by Anna Gniewkowska 1996

*Skład i łamanie:*  
Barbara Popławska

*Druk i oprawa:*

Zakład Poligraficzny  
**GoDRUK**

~~884-311.2~~ 821.162.1-311.2

ISBN 83-86641-60-6

*Wydawca:*  
Oficina Wydawnicza  
Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury  
w Białymstoku

*Mojemu Wrogowi...  
...gdziekolwiek jest.*

*Autorka dziękuje:*

○ *Referatowi Kultury Urzędu Miejskiego  
w Białymstoku*

○ *Oficynie Wydawniczej  
Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury*

○ *Firmie LEK Lubljana*

*oraz*

*Magdalenie Kowalczuk,*

*Marii Chętnickiej*

*i panu Zbigniewowi Brożkowi*

*za pomoc w wydaniu książki.*

"Posmak czasu" to druga, po "Szarym odcieniu bieli", książka prozatorska Anny Gniewkowskiej, której debiut spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem. Oto bowiem w niezbyt wielkim białostockim środowisku literackim pojawiła się pisarka od razu "gotowa", której wcześniej, przynajmniej od tej strony, prawie nie znano. Anna Gniewkowska jest lekarką, wydawałoby się więc, że jej życie wypełnia przede wszystkim praca, a więc przychodzi, szpital, dyżury w pogotowiu ratunkowym. Ci jednak, którzy bliżej znają dr Gniewkowską, wiedzą, że praca, chociaż traktowana bardzo serio, nie przytłumiła nigdy jej zainteresowań artystycznych. Bo autorka "Szarego odcienia bieli" od dawna maluje, ma też na swoim koncie szereg wystaw indywidualnych i zbiorowych. W gronie przyjaciół chętnie zaś zasiada do pianina, wypełniając wieczór ulubioną muzyką.

Po lekturze "Szarego odcienia bieli" (świetny tytuł!) jestem jednak przekonany, że prawdziwe spełnienie dało jej pisarstwo. W swojej prozie autorka znakomicie łączy wykonywany zawód, zainteresowania artystyczne i - co dla każdego twórcy jest bodaj najważniejsze - w pełni wyraża siebie. Proza Anny Gniewkowskiej to rodzaj dziennika, nie traktowanego jednak zbyt rygorystycznie. Autorka zapisuje swoje doświadczenia, przeżycia, spotkania z ludźmi. Nietrudno stąd wyciągnąć wnioski, że od jej usytuowania w świecie w znacznej mierze zależy atrakcyjność tej prozy. Nie kreacja artystyczna bowiem wysuwa się tu na plan pierwszy, lecz właśnie zapis rzeczywistości. Z tym że - należy koniecznie dodać

- nie jest to zapis reporterski, ale refleksje osoby wrażliwej, skłonnej do zadumy i uogólnienia, osoby umiejącej poddać selekcji wielorakie doświadczenia i obserwacje.

Dwie sprawy - jak sądzę - zdecydowały o sukcesie literackim Anny Gniewkowskiej: ów zmysł selekcji, sprawiający, że karty jej prozy są po prostu interesujące, oraz bezpretensjonalność języka. Wykonywany przez nią zawód wymaga profesjonalizmu i precyzji, także językowej, co nie pozostaje bez wpływu na prozę, gdzie obok niemalże poetyckich refleksji o porach roku, przyrodzie, przemijaniu, pojawiają się fragmenty operujące precyzyjnym, sprawozdawczym wręcz językiem.

Istnieje przekonanie, że pisarza tak naprawdę poznajemy po jego drugiej książce; jedną bowiem - nasz własny życiorys - każdy nosi w sobie. Anna Gniewkowska nie wyczerpała swoich literackich możliwości w "Szarym odcieniu bieli"; mimo podobieństw formalnych "Posmak czasu" nie zawiera "remanentów literackich", ale jest nową, oryginalną propozycją autorki. Bohaterka "Posmaku czasu" mniej podróżuje, za to bardziej skupia się na tym, co w jej doświadczeniu wydaje się najważniejsze - przemijaniu. To tak zbanalizowane, niestety, słowo wydaje mi się kluczem do nowego tomu prozy białostockiej pisarki. Ale - chciałoby się powiedzieć - ktoś lepiej niż kobieta-lekarka, a przy tym osoba o artystycznym usposobieniu, potrafi ukazać ten problem. Przed siedemdziesięciu laty Maria Pawlikowska-Jasnorzewska pisała w nieśmiertelnych "Pocałunkach": "Te dwie zmarszczki przekreśliły

*cię skrycie / i choć tańczysz z beztroską motyla, / w twojej sukni  
półniebieskiej, półlila / jesteś już jak wspomnienie, nie jak życie" -  
i do dziś są to najbardziej czytane przez panie polskie wiersze.*

*Anna Gniewkowska jest szczególnie predysponowana do pod-  
jęcia tych zagadnień; poza medycznym, powiedziałbym, rozumie-  
niem nieuchronności biologicznego przemijania, istotna jest jej  
wrażliwość na przyrodę. Anna Gniewkowska w swojej prozie  
niezwykle często zanurza się w przyrodzie, przemierza z ulubio-  
nym psem łąki spowite mgłą, niemal każdą wolną chwilę spędza w  
ogrodzie, wśród kwiatów, ale i nie dających się wytrzebić chwa-  
stów. Pozwala to na budowanie konstrukcji paralelnych, wielozna-  
cznych, ale przemawiających do każdego wrażliwego czytelnika, a  
zwłaszcza czytelniczki.*

*Nową książką potwierdziła autorka swój talent literacki. "Po-  
smak czasu" ma wszelkie dane, aby usatysfakcjonować czytelniki-  
ków, których Anna Gniewkowska zyskała swoją pierwszą książkę,  
a także z pewnością przysporzy jej nowych.*

**Waldemar Smaszcz**



Jeszcze chwila, jeszcze moment... Zaraz Los zapuka do drzwi i wszystko, co nieokreślone i nie nazwane, stanie się rzeczywistością, która wkroczy w nasze życie w postaci całej serii pechowych wydarzeń, a czasem tylko, czy może aż, w postaci mężczyzny, który ciągle nie jest tym, na którego się czeka. Jest więc taki moment... zerknij wtedy szybko do lustra, rozejrzyj się po pokoju, po swoim życiu...

Jeśli nic cię nie zastanowi, nic nie wzbudzi twego niepokoju - przegrałaś. Otwórz drzwi. Po prostu, niech się stanie...

### *Czerwiec*

Przez otwarte okno wdzierają się wszelkie możliwe zapachy, łącznie z aksamitnie chłodnym powietrzem. Altany na działkach otuliły się szczelnie kosmatymi płaszczami zarośli, gotując się do snu. Ale jest zbyt pięknie, zbyt przejmująco, żeby zasypiać. Wychodzę na werandę i usadawiam się w fotelu. Niewiadomo skąd materializuje się jeden pies, potem drugi - ten mniejszy. Chwilę walczą ze sobą o miejsce, oczywiście jak najbliżej moich stóp, potem i one ulegają fascynacji nocą. Cisza, która nas otacza jest tylko pozorną, rozpada się bowiem na tysiące różnych odgłosów i dźwięków. Jakieś pohukiwania z lasu, szamotanina w kępie zarośli, trele ptactwa, wreszcie ten upajający zapach, który - otaczając całą naszą trójkę - stanowi pewien rodzaj niemej muzyki. Zapalam papierosa, profanując wieczorną symfonię. Nawet pies parska z obrzydzeniem. Ale mnie uspokaja żarzący się punkcik - moje małe, zupełnie własne ognisko. Dym ulatnia się niewielkim obłoczkiem i za chwilę znika na tle granatowego, upstrzonego złotymi cętkami nieba.

Zza ciemnej ściany lasu wysuwa się księżyc - demoniczny i bladey. Stoi niemy jak aktor szykujący się do odegrania

swojej kwestii. Robi się coraz chłodniej. Coraz srebrzyściej, nierealniej...

Trzymam w rękach milczenie. Jak kieliszek najlepszego musującego wina. I smakuje mi ono podobnie: cierpko-słodkie, drażniące podniebienie. Przypominam sobie tamto, pite na tarasie paryskiej kawiarenki. I milczenie aż uginające się od ciężaru niewypowiedzianych słów... Wzdycham ciężko. Pies, zdumiony, zerka na mnie z ukosa.

\*

W pracowni fotograficznej mojego kolegi znalazłam przez przypadek zdjęcie, które mnie zachwyciło - stojąca profilem dziewczyna pod oknem, przez które wpada promień słońca prosto na jej usta. I tylko one są widoczne, reszta jest bezimienna, ukryta w lekkim mroku.

- Kim była ta dziewczyna? - zapytałam kolegi.

Spojrzał bez zainteresowania.

- Nie pamiętam - powiedział. Odeszła gdzieś, zniknęła jak tysiące innych modelek.

Pomyślałam, że dzięki temu zatrzymanemu na ustach słońcu jednak przez chwilę zaistniała między nami.

- No, przypomnij sobie jak miała na imię, jaka była - nudziłam kolegę.

Zapalił fajkę, zamyślił się.

- Wiesz, chyba nie była nikim nadzwyczajnym, inaczej bym zapamiętał, żadna tam piękność - dodał lekceważąco machając ręką. - Pewnie już dawno wyszła za mąż i obłożyła się dziećmiakami.

- To w końcu nic złego - burknęłam. Zapadło milczenie.

- Stać ją było na więcej, mówiąc między nami - powiedział niespodziewanie Robert.

Więc jednak! Wiedziałam, że to zdjęcie kryje w sobie jakąś

tajemnicę.

- Co was łączyło, byłeś w niej zakochany? - atakowałam z babską ciekawością.

Wypuścił kłęb dymu przed siebie.

- Jeśli chcesz wiedzieć - zaczął - to nie ja byłem w niej zakochany, ale mój kolega, który wpadł na to zdjęcie przypadkiem, tak jak ty. Twierdził, że wygląda jak Mona Liza z profilu. No i jeszcze ten promień słońca. Zupełnie oszalał. Zakochał się platonicznie w zdjęciu kobiety, której na oczy nie widział. Wariat zupełny. Tłumaczyłem mu jak dziecku, że ta dziewczyna to nic nadzwyczajnego, że wręcz odwrotnie, ale nie słuchał. Musiałem zorganizować wreszcie spotkanie, na które on przyszedł cały w nerwach i z bukietem kwiatów, a ona wymalowana jak lala, w sukience ciasno oblepiającej ciało, z pretensją do światowych trendów w modzie. Mówię ci, istny horror. W każdym szczególe nie przypominała tamtej ze zdjęcia. Od razu mówiłem, że to nie dla niego dziewczyna. Szarpali się później parę lat ze sobą. Myślałem, że już skończą, kiedy ona wyjechała do Grecji, gdzie pracowała jako puszczalska. Ale co tam - Robert z obrzydzeniem machnął ręką - i to jej wybaczył. W końcu złapała jakiegoś właściciela kantoru. Podobno się pobrali.

Mój kolega umilkł.

- No, a ten chłopak? - zapytałam zniecierpliwiona jego milczeniem.

- Cóż, na początku trochę się ciskał, zaczął pić, ale na szczęście później wziął się w garść i nawet pojechał na stypendium do Stanów. Szkoda by było, żeby się zmarnował. Był w końcu zdolnym biologiem.

Spojrzałam na fotografię. Słońce igrało na ustach, które wydawały się być wykrzywione w ironicznym półuśmiechu.

\*

Zastanawiam się, przeglądając stare notatki, ile spraw przeprowadziłam wbrew sobie, na przekór komuś, czy też w proteście przeciwko... Nikogo tym nie ukarałam, więcej nikogo to właściwie nie obeszło. Cierpiałam ambitnie, bo w samotności. Zaciskałam pięści warcząc: ja wam jeszcze pokażę. Komu jednak? Kim byli ci przeciwnicy, wrogowie? Teraz już nie pamiętam. Wiem tylko, że nie warto było...

Tym bardziej zdumiewa mnie, że teraz, mając świadomość tamtych niepotrzebnych buntów, robię dokładnie to samo.

\*

Przeraźliwe upały. Miasto odpycha rozpalonymi chodnikami od siebie. Maria namówiła mnie na ten niedzielny festyn. Tłumy przelewające się po rozgrzanym placu wywołują falę mdłości. Postanawiam tam nie wchodzić, nie zagłębiać się w tę ciżbę, mającą kształt ciepłej lawy. Stoję na brzegu nie widząc nigdzie mojej przyjaciółki i zastanawiając się, dlaczego ja tak siebie nie lubię?

Gdyby nie tamta niedokończona i głupia sprawa, nigdy przecież nie przyszedłabym na ten zalany ukropem plac. Leżałabym z książką w cieniu jabłoni. Teraz jednak gnana jakimś zniecierpliwieniem, obsesją prawie, miotałam się na brzegu rzeki ludzi, którzy poruszali się to tu, to tam, nie odważając się zrobić kroku w ich stronę. Miałam żal do całego świata, do Marii, do tamtego kogoś, kto nigdy nie nazwał mnie po imieniu...

Pod powiekami piekły łzy, które nie miały prawa wypłynąć na zewnątrz. Moja samotność wlokła się za mną jak zmęczony cień.

Najlepsze opowiadania przychodziły Małgoście do głowy, kiedy już leżała w łóżku szczelnie otulona kołdrą i wszelkie czynności związane z podejściem do stołu, na którym stała maszyna do pisania, były niemożliwe. Tak więc zasypiała z nowym, wręcz rewelacyjnym pomysłem pod powiekami. Rano jak zwykle wszystko to, co wieczorem przemyślała, rozmazywało się i topiło w tysiącu problemów, jakie przynosił dzień i na próżno przetrząsała pamięć, aby to odnaleźć. W końcu dochodziła do wniosku, że może nie było to takie ważne. I odkładała to na później, tak jak i inne rzeczy. Liczyła, że w niedalekiej przyszłości nadejdzie taki czas, przychylny i dobry, kiedy ona - pełna wspaniałych pomysłów i nie zaprzątnięta żadnymi problemami - siądzie do maszyny i skończy wreszcie tomik opowiadań.

Wróciła myślami do swojej jedynej, jak dotąd, wydanej książki. Oczywiście było trochę szumu wokół jej osoby i zdziwienia koleżanek w redakcji. Trochę plotek i zawiści, ale w dawce zupełnie przyzwoitej i nie uprzykrzającej życia. W sumie więc powinna być zadowolona. Powinna... Ale tylko przez krótką chwilę odczuwała w stosunku do siebie coś na kształt sympatii i aprobaty. Od miesięcy nie mogła się do niczego zmobilizować. Nie napisała ani jednej strony, cały czas usprawiedliwiając się przed sobą samą a to brakiem czasu, a to bliżej nieokreślonymi dolegliwościami. Niepostrzeżenie minęło lato i nadeszła jesień. Projekty całych opowiadań miała w głowie. "Tylko usiąść i napisać" - pocieszała się w myślach. Kiedy jednak zbliżała się do maszyny, biel kartki działała na nią paraliżująco. Gorączkowo wysuptywała z pamięci te wszystkie błyskotliwe zdania, którymi bawiła się jadąc w autobusie lub będąc w pracy.

Przesiadywała nad pustą kartką, powoli oddalając się od

niej w myślach , snując własne, prywatne rojenia... Po godzinie czy dwóch z ulgą wstawiała od maszyny i zapalała papierosa. Czas przeznaczony na pisanie minął. Pozostawał niesmak i niechęć do samej siebie, poczucie przegranej. "Te moje cholerne ambicje - wściekała się w duchu - innym wystarczy praca, dobry obiad, a tobie zachciało się zostać pisarką, idiotko." Zła i rozżalona szła pielic ogród.

\*

Często zarzucano mi, że moje myślenie jest przesycone melancholią i rezygnacją. "Wiesz, snujesz strasznie smutną opowieść o przemijaniu" - powiedziała kiedyś moja przyjaciółka. Miała rację, bo przecież tym właśnie jest życie.

Wydaje mi się jednak, że u podłoża owego smutku i melancholii leży zgoda na siebie i na czas, który nazywam swoim. Każda taka zgoda niesie w zanadrzu, oprócz pewnego spokoju wewnętrznego, właśnie posmak owego smuteczku i szczyptę rezygnacji. Jest to w jakiejś mierze kompromis - musisz coś oddać, żeby uzyskać coś innego. Ot, taki cierpko-słodki koktajl, którego trzeba się nauczyć, żeby zaczął smakować.

\*

- Weź mój karnet i pójdz na koncert - powiedziała Iwona - poprawisz sobie nastrój.

Wzięła bez przekonania. Miotła się samotnie z pewnym problemem, który od dwóch tygodni nie dawał jej spokoju.

Dźwięki gitary spadały na nią niespodziewanie jak lodowate krople deszczu uderzając na początku prawie boleśnie. Wysublimowane z rzeczywistości i odrealnione w swoim pięknie. Broniła się przez chwilę, jednak przedarły się do jej

świadomości układając się w logiczny ciąg, który zmuszał do refleksji. Spojrzała na twarz człowieka, który grał. "Pospolita - pomyślała - pewnie nie zauważyłabym jej w tłumie". Muzyka spływała z estrady coraz pewniej, groźniej, oplatała salę mackami jak wielka ośmiornica. Poczula jeszcze skrawkiem nieopanowanej przez dźwięki świadomości, jak nieważne i nieistotne są te jej problemy. "Jak to możliwe - przemknęło przez myśl - że człowiek tak niepiękny poruszył ją do samych trzewi. Jakie to niesprawiedliwe" - myślała, pamiętając tamte urzekające spojrzenie ciemnych oczu, pod pięknie zarysowanymi brwiami. Ich właściciel tkwił w pamięci dotkliwie, z całą płytkością swojej natury, tak charakterystyczną dla ludzi obdarzonych doskonałością fizyczną. Zapatrzyła się przez chwilę w niekształtne dłonie gitarzysty mając jeszcze w oczach smukłe palce tamtego, które zatapiały się w jej włosach jak w strunach instrumentu, wywołując dreszcz. Nikły, fizyczny dreszcz, który nazajutrz pozostawiał kwaśne uczucie niesmaku. "Jakie to małosłowne - pomyślała - i jakie podłe" - dodała, mając na uwadze wszystkie przeczekane wieczory, na wpół uduszone dymem z papierosów, których niedopałki przelewały się z popielniczki. Przesycone wypitym napędce alkoholem, mającym złagodzić gorycz pustych godzin. "Nie było warto, przecież jego obchodziło tylko moje ciało, a nie moja samotność". Zresztą wiedziała to od zawsze... był przecież zbyt piękny, żeby do tego być ludzkim. Coś za coś. Tak to już jest.

Publiczność biła brawo. Przyłączyła się. Artysta niezgrabnie skłonił głowę w ukłonie. "Pospolita twarz" - pomyślała - i zapragnęła jej jak świeżego, wiejskiego chleba, jak kwaśnego mleka w gorący dzień...

Później, za kulisami, koleżanka przedstawiła jej wirtuoza, nagle zmałego, skurczonego, drobnego człowieczka. Kiedy poczuła jego spojrzenie ciasno opinające jej biodra, ujrza-

ła kropelki potu wykwitające nad górną wargą i lepki uśmiech, kokon zachwyty opadł z niej jak niepotrzebna suknia.

## Lipiec

Znowu błądzą ulicami Paryża, ale nie jest mi tak dobrze, jak się tego spodziewałam. To miasto ożywia się nocą niby wielki stwór wychodzący na łowy z zapadnięciem ciemności. Tłumy w kawiarniach, tłumy na ulicach, ktoś mnie co chwila potrąca. Mój przewodnik Paul śmieje się.

- Pojedziemy nad Sekwanę, tam jest spokojniej - mówi pocieszająco.

Nie chcę jednak. Wzrusza ramionami. Pewnie myśli, że sama nie wiem, czego chcę. W istocie chyba tak jest. Może to nie to miasto i nie ten mężczyzna? Nie umiem sobie odpowiedzieć, nie potrafię zebrać myśli. Jutro, jutro będzie inaczej...

Potem pijemy wino o zapachu winogron. Jaki on jest piękny - patrzę na swego towarzysza - jaki piękny i jaki powierzchowny. W jego oczach widzę isierki ironii. Nie lubi moich nastrojów, tych nagłych zamyśleń i oddaleń. To dla niego zbyt skomplikowane, niepotrzebne.

- Dość tego marudzenia - mówi i bierze mnie za rękę - jeśli wypijaś wino, chodźmy do hotelu.

Nie, jednak nie potrafimy ze sobą rozmawiać.

- Paul - mówię - to wszystko przecież nie jest takie proste. Śmieje się tym swoim ślicznym uśmiechem, okraszonym bielą zębów:

- To jest bardziej proste niż myślisz, tylko niepotrzebnie wszystko gmatwasz.

Ogląda się dyskretnie za przechodzącą dziewczyną. Och, Paul. Jest właśnie taki, jak sam o sobie mówi - przyjacielski i otwarty na propozycje. I lubi kobiety. Ale nie potrafi mnie



zrozumieć i chyba zaczyna się nudzić.

- Nudzisz się ze mną? - pytam otwarcie.

Wzrusza ramionami:

- Nie jest łatwo być z tobą. Ta wasza słowiańska dusza... niczego nie umiecie traktować po prostu.

Patrząc na niego pytająco - więc dlaczego...

- To ta twoja twarz - mówi - te ciemne włosy i okulary. Poruszałaś się jak we śnie. Taka nieodgadniona, jakbyś kryła w sobie tajemnicę wszystkich kobiet świata, unosiła się ponad czasem... zresztą sam już nie wiem. Myślałem, że dotykając ciebie zrozumieć na czym to wszystko polega. Ale teraz nic nie wiem. To męczące...

Milkniemy oboje.

\*

Karolina chce mi opowiedzieć o Paryżu i nie znajduje słów. Ma 17 lat i pragnie zostać projektantką mody. Słucham jej milczenia, kiedy w myślach usiłuje znaleźć odpowiednie słowa i te obszary ciszy są pełne wymowy.

- Wiesz - mówi wreszcie - ostatnia kolekcja jesienna Laurenta...

- Wiem - przerywam jej - tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć - kończę za nią i obie śmiejemy się. Na stole ostygła w filiżance kawa. Nie zaczęłyśmy nawet jej pić.

### *Sierpień*

Soczysta zieleń powoli gaśnie i przechodzi w brunatne, spalone plamy na trawnikach. Sierpniowa jarzębina jest już prawie gotowa do powitania jesieni - cała w czerwonych kolorach. Na kwietniku przed domem, nie wiadomo skąd i jakim wiatrem przeniesione, leżą liście - nieomylny znak końca lata.

\*

Ostatnia sobota sierpnia. Zażółciły się na kwietnikach aksamitki - kwiaty letnio-jesienne. I ciepło już jakieś inne - nie szalejący bez opamiętania upał, ale stateczne, spokojne, powiewające czasem chłodnym wiatrem. Ta sobota jest taka, jak sobie wymarzyłam, nikt mi zbytnio nie przeszkadza, nie ma nadmiaru gości. Piszę stawiając maszynę na krzeselku - sama klękam przed nią w słońcu. Tak lubię najbardziej.

### *Wrzesień*

Ciepło. Początek września ma kolor moreli, które zalegają stół. Później, dużo później, umyte i oczyszczone wypełniają szczelnie słoje - szklane trumny i pasteryzują się w kuchennym piecu.

Wpadłam wczoraj do Iwony, głównie po to, żeby zobaczyć się ze Sławkiem, którego nie widziałam od czasu ostatniego spotkania w Augustowie. Patrzył na mnie przez stół swoim zamyślonym, trochę nieobecny wzrokiem. Powiedział, że podoba mu się to, co piszę. Wiedziałałam, że jest mi życzliwy.

\*

Marta sama nie wie, kiedy zapadła się w tę starość. Zdawała sobie sprawę, że nie stało się to z dnia na dzień. Owszem, zauważała w lustrze jej drobne, podstępne kroki - a to niewielką zmarszczkę wokół ust, a to jeden siwy włos więcej. Potem jakoś tak nagle zeszczipły jej policzki. Ale przecież całość prezentowała się jeszcze dobrze; młodzieńcza szczupłość i nadmiar włosów sprawiały, że sama Marta uwierzyła iż omija ją to, co przytrafiło się jej znajomym i koleżankom, które, dawno nie widziane, stawały się pełnymi staruszkami.

"Świetnie wyglądasz" - mówiono jej. "Jak ty to robisz?" - pytano z zawiścią. Robiła tajemniczą minę i już później, w domu, chichotała zadowolona, że udało się jej przechytrzyć swego najgorszego wroga. Ale te wszystkie pochlebstwa i komplementy uspiły tylko jej czujność. Nie przygotowała się na nadejście tego, co i tak miało nieuchronnie nadejść. Starość zastała Martę w nagłym geście, w półobrocie. Tak jak zwykle zastaje nas nieoczekiwane wydarzenie. Pamięta, że było to w jednym z tych wielkich, nowo powstałych sklepów. Wybierała sobie właśnie pantofle i spojrzała nagle do lustra. Zobaczyła przed sobą miłą, starszą panią. "Skąd ja ją znam?" - pomyślała. Ale tylko tyle. Dopiero, kiedy wyszła na zewnątrz rozkoszując się zakupem, przyszło olśnienie, a zarazem ogromne niedowierzanie. Przecież ta miła, starsza osoba w rudym płaszczu - to ona. "Nie, to niemożliwe - myślała gorączkowo Marta - ja przecież jeszcze tak nie wyglądam."

Nogi miała jak z waty. Poczowała, że musi usiąść. Na szczęście obok stała ławka. Tak, więc jednak stało się. Patrzyła z niedowierzaniem na swoje ręce, które teraz wydawały się rękoma jakiejś innej, obcej osoby, która ją zdradziła. Dlaczego nie zauważyła niczego, nie zapobiegła? Trzeba było przecież jakoś sobie z tym poradzić, jakoś sobie to ułożyć - myśli jej przepływały bezładnie i bez sensu. W końcu trochę się opanowała. No więc dobrze. Jest starą babą. Zadbana, elegancką, ale starą. "I tak byłaś młoda dłużej niż inne, miałaś lepszą figurę, piękniejsze włosy. W końcu można być jeszcze atrakcyjną staruszką" - zachichotała do własnych myśli.

Nawet nie zauważyła, kiedy obok usiadł mocno starszy pan. "Ładny dzień" - zaczął uprzejmie. Spojrzała w jego stronę z niechęcią. "No nie - przeszło jej przez głowę - tylko nie to." Niezrażony starszy pan uśmiechał się zachęcająco.

## *Styczeń*

Pada mokry śnieg. W poradni od rana awantura. Pacjentka, nie bez pewnej racji, uważa, że służba zdrowia jest po to, żeby służyć. Szkoda, że wyraża to w mało wyszukanej formie.

Czytałam wzruszającą książkę o Camille Claudel. Spalająca się nad zimnym marmurem i kochająca bez wzajemności. Takie krótkie życie i tak pełne smutku. A potem 30 lat zakładu dla obłąkanych, czego już w żaden sposób życiem nazwać nie można. Żal mi biednej Camille i czuję wdzięczność do losu za swój mały żywocik nie targany uczuciami, które zabijają.

## *Później...*

Byłam w tamtym mieszkaniu. Brudne firanki, zapach dymu, niedopałki w popielniczce. Łazienka zarzucona ręcznikami i kosmetykami. Cudzym życiem. Wychodzę na cichą i pustą o tej porze klatkę schodową. Skrzynka na listy pusta. Już dawno przestały przychodzić na ten adres.

\*

- Masz takie czerwone ręce - powiedział pewien mój znajomy, na którym chyba mi wtedy zależało.

Rzeczywiście. Z nastaniem chłódów moje dłonie przybierały brzydkie, fioletowo-czerwony odcień - fatalne skutki tamtego odmrożenia z dzieciństwa. Schowałam je wstydliwie do kieszeni fartucha.

Stała mi przed oczami szeroka droga na lotnisko - ulubione miejsce wypraw dzieci z naszej dzielnicy. Tamta zima była wyjątkowo mroźna, ale nam nie przeszkadzał ani mróz, ani wielkie zasy śniegu. Słońce połykiwało do bólu

oczu. Brnęliśmy całą gromadą dalej i dalej, aż do pasa startowego, który oszalał nas bezkresną, białą przestrzenią.

- Czy tam dalej jest już Ameryka? - zapytał mój mały brat.

- Ty, głupi - powiedział Józek, najstarszy z nas i naciągnął małemu czapkę na oczy.

I nagle zobaczyłam "to". Leżało na poboczu drogi i wyglądało jak mały pakunek. Miśka podbiegła pierwsza i oznajmiła:

- To mały piesek, zupełnie sztywny. Pewnie ktoś go wyrzucił, albo zgubił. Zabieramy go do domu? - zapytała parząc na nas niepewnie.

Roztrąciłam dzieciaki. Psy były zawsze moją wielką miłością. Ale jeszcze nigdy nie miałam własnego. Teraz trafiła się okazja. Nie mogłam jej przepuścić. Ostrożnie przygarnęłam pieska do siebie. Rzeczywiście był zamrożony jak bryłka lodu. Miał zamknięte oczka i mały zimny nosek, który przytuliłam do policzka. Wydawało mi się, że troszkę odtajał i zrobił się cieplejszy, ściągnęłam więc rękawiczki i rozpięłam futerko. Przycisnęłam zwierzątko do niebieskiego sweterka, żeby się rozgrzało. Co chwila któreś z dzieciaków pytało niecierpliwie, czy piesek odtajał i czy już można się z nim pobawić. Odpowiadałam niechętnie, strzegąc zazdrośnie mego skarbu. W myślach układałam sobie rozmowę z Matką, która na pewno nie będzie zachwycona. Czulałam, jak w kołysce z rąk, ciało mojego przyszłego przyjaciela mięknie i serce skakało mi z radości. Wreszcie doszliśmy do domu. Wszystkie dzieciaki, w triumfalnym pochodzie, przemaszerowały ulicą, żeby się stłoczyć na progu kuchni, gdzie już powitała mnie mama z niezadowoloną miną. Spojrzała ze zgrozą na moje ręce i z okrzykiem: Ja oszaleję z tym dzieckiem - wybiegła z kuchni wołając ojca.

Ręce zaczęły mnie piec i boleć dopiero wieczorem, ale

bałam się poskarżyć. Ojciec smarował je tego dnia i później wiele razy jakąś okropną maścią i bandażował.

- Tato - pytałam z nadzieją w głosie - on przecież był zupełnie mięciutki, kiedy go przyniosłam do domu. Czy naprawdę nie żył, ani trochę?...

### *Kwiecień*

Koleżanka rezygnuje z kupna mojego mieszkania. Wszystko wraca do punktu wyjścia, rozwiewają się liczne, związane z tymi pieniędzmi, plany. Paryż odsuwa się znowu na czas nieokreślony. Tyle miałam pomysłów, tyle potrzeb i ... znowu pustka w kieszeni. W poradni tłum pacjentów - niezadowolonych matek z wiecznie chorymi dziećmi i starsuszek, które żądają, żeby lekarz przywrócił im zaraz, natychmiast, zdrowie. Liczę godziny do końca pracy. Jestem taka zmęczona.

"Pani jest niepoważna" - mówi z wyrzutem starsza, umalowana pani, kiedy mówię jej, że nic oprócz aparatu słuchowego nie przywróci jej słuchu. "Podam was do sądu" - obiecuje pacjent, któremu nie podpisałam karty zdrowia z powodu jego przewlekłej choroby.

Spoglądam przez brudną szybę. Szare osiedle. Na ukos przez trawnik idzie zataczając się mężczyzna, potyka się o krzak róży, kopie go i coś tam mamrocze pod nosem. Z autobusu wysypuje się grupa ludzi. Część podąża w stronę poradni.

### *Sierpień*

Wychodzę do pracy z mizernym uczuciem, że spotka mnie dzisiaj coś dobrego. I mam rację - czekam prawie godzinę na autobus, w mieście panuje tak śmiertelny zaduch, że rezygnuję z zakupów. Do pracy dochodzę na wpół

żywa. Koleżanka na mój widok radośnie pakuje swoje rzeczy. Za chwilę do naszego pokoju socjalnego wchodzi moja przyjaciółka-internistka. Siada ciężko na krześle i wyciąga przed siebie obrzęknięte nogi. Basia jest w szóstym miesiącu ciąży, którą znosi nie najlepiej. Jest zmęczona i zła - przed chwilą wróciła z wizyty domowej u staruszki, która nie chcąc fatygować wnuczka (niech się uczy), pofatygowała ciężarną Basię, żeby powtórzyć leki. Moją przyjaciółkę, z trudem wdrapującą się na trzecie piętro, dogoniła owa staruszka z torbą zakupów, żwawo ją wyprzedziła i gościnnie otworzyła drzwi, po czym poprosiła o zmierzenie ciśnienia i wypisanie leków. Bo w poradni takie kolejki, a ona musi wnuków pilnować i jeszcze zakupy... "Od jutra biorę zwolnienie" - popłakuje Basia, ale wiem, że nie weźmie, bo czas jest urlopowy i trudno o zastępstwo.

Kończę pracę i wychodzę z przychodni na rozpalone płyty chodnika. Zwała się na mnie ze wszystkich stron gorąca masa powietrza i obezwładnia na chwilę. Wolno, bardzo wolno idę w stronę przystanku.

\*

Czasami ogarnia mnie nieuzasadniona, zupełnie irracjonalna tęsknota za Paryżem. Widzę go zawsze w swoich marzeniach, jak owiany lekką jesienną mgłą leży u moich stóp, widziany ze wzgórza Montmartre... A potem idę Polami Elizejskimi, w perspektywie Łuk Triumfalny. Zalany słońcem bulwar nad Sekwaną. Mijają mnie potoki aut i ludzie. Myślę sobie - jacy oni szczęśliwi, mogą mieszkać w tym mieście. Nic dziwnego, że Izabella Czajka Stachowicz siedząc przy stoliku kawiarni Select, miała wrażenie, iż siedzi w najważniejszym miejscu świata - w samym jego środku.

Tęsknię za Paryżem... pewnie tak jak się tęskni za mężczyzną. I wiem jednocześnie, że jest to mężczyzna zbyt piękny i zbyt nieosiągalny, abym go mogła mieć u swoich stóp.

\*

Na ten wernisaż trafiłam przypadkiem, który ostatnio dominuje w moich poczynaniach. Wystawiała starsza pani, która dziwnym wyglądem nie odbiegała od własnych gwaszy. Czarna peruka, okulary i wysoki kołnierz mimo upału. Lampka wina i ludzie powoli się rozchodzą.

Ja z Elą przysiadamy na chwilę przy stoliku i zaraz wokół nas grupują się ludzie - znany malarz, fotografik, jeszcze ktoś tam ze środowiska artystycznego. Pijemy wino. Na dworze upał i powinnam raczej siedzieć w ogrodzie, gdzie rzodkiewki nabierają ciała. Spoglądam tęsknie za okno. Elżbieta podąża za moim wzrokiem. "Wiesz, pojedźmy w październiku do Paryża" - szepcze mi do ucha. Patrę na nią przez chwilę nieprzytomnie. Paryż. Wdycham delikatny zapach mimozy. Cisną mi się te wszystkie zdania, które przeczytałam: że jest jak ruchome święto, które ma się w sobie, że jeśli ktoś zobaczył go raz, tęsknić będzie przez całe życie. Banaly. A jednak. Przed oczami przepływa mi natrętnie sylwetka Wieży Eiffła, której ażurowy stożek wczepiał się w wieczorne, bezchmurne niebo.

Każdy ma swój Paryż. Tamten z czasów Paula, w którym byłam nieprzytomnie zakochana. Boże, jak ja cierpiałam, jak uganiałam się po Dzielnicy Łacińskiej w nadziei, że go spotkam. Cóż, byłam dla niego drobnym epizodem, słowiańską przygodą, zbyt jednak skomplikowaną w jego prostym pojmowaniu świata. Był taki piękny. Ale może nie było w nim nic ponad tą oslepiającą urodą? Czuję lekkie ukłucie



w okolicy serca. Nawet nie potrafię cię nienawidzić Paul, przecież o niczym nie wiedziałeś...

Mimo tego szaleństwa jednak pamiętam Cézanne'a, Picassa, niepowtarzalny błękit na witrażach Katedry w Chartres. Różową mgłę, która opadała wieczorem na Paryż, recital jakiegoś piosenkarza w Olimpii, który zachwycił mnie swoim chrypliwym, jakby nadpełkniętym głosem przypominającym trochę Wysockiego. Zanuciłam później, idąc bulwarem, po rosyjsku fragment jego piosenki. Paul ścisnął mi mocniej rękę. Przez chwilę byliśmy razem. Ale widziałam, że przez następne dni go nie zobaczę. Opuszczał mnie bez żalu pędząc do swoich spraw. "Czy nic dla ciebie nie znacze?" - pytałam w myślach, nie odważając się wypowiedzieć ich głośno. Bałam się prawdy...

"Były do mnie jakieś telefony?" - pytałam, wracając po całym dniu włóczęgo po mieście. Moja paryska ciotka odpowiadała jak zwykle - "Non". Na co liczyłam?

Po drodze mijalam całe dziesiątki ślicznych Paryżanek, byłam o nie zazdrosna. Nawet skośnooka dziewczyna, która sprzedawała mi co rano bagietki, wydawała się być piękniejsza, bardziej pewna siebie... Boże, Paul, nie wytrzymam tego... z kim teraz jesteś, jakiej kobiecie patrzysz w oczy? Dlaczego wśród całego tłumu wypatrzyłaś właśnie mnie, jaki fatalny los nas ze sobą zetknął? Byłabym taka szczęśliwa i spokojna bez ciebie! Wlokłam się pokonana przez Trocadero. Mój Paryż. "Przestań śnić" - Ela szczypie mnie w ramię. Naprzeciwko znajomy malarz maluje mój portret na serwetce... Od sąsiedniego stolika podrywa się Jerzy, pochyla się nad moim ramieniem.

- Słuchaj, ktoś chce cię poznać, to mój kolega, porządny facet, szaleje za tobą od miesiąca.

Krzywię się nieznacznie.

- Nie bądź taka zarozumiała, on ma sklep żelazny - mówi

Jurek konspiracyjnie.

Wzruszam ramionami i wzdycham. Ela, chcąc - niechcąc, słyszy rozmowę i wybucha śmiechem. Potem poważnieje.

- Moja matka - mówi - pogardziła kiedyś sklepem z kryształami i wierz mi, całe życie tego żałowała.

Parskam pogardliwie. Prześladowają mnie ciemne oczy Paula.

### *Sierpień*

Dzwonię do Małgorzaty - siedzi w domu zdławiona upałem i ciasnotą mieszkania. Pytam o to i owo, formułowanie zdań przychodzi mi z trudem - cierpię na jakąś niespójność myśli. Upał wciska się w poszczególne fragmenty tego co mówię, rozszczepiając treść na nic nie znaczące, bzdurne kawałki. W końcu zegnamy się i odkładam słuchawkę, pozostawiając na niej wilgotny ślad ręki.

Za chwilę, już w gabinecie, pacjent robi mi awanturę (zastanawiam się skąd ten starszy pan ma w sobie tyle energii) o aparat słuchowy. Chce go mieć zaraz, natychmiast, bez żadnych badań, bez zawracania głowy. Za darmo. Tłumaczę mu cierpliwe całą procedurę - najpierw badanie słuchu na specjalnym aparacie, później dam skierowanie do poradni, która zajmuje się dopasowaniem aparatów słuchowych. Ale moje wywody nie docierają do niego. Od jego krzyku robi mi się coraz bardziej gorąco. Jego żona, słysząc co się dzieje w gabinecie, wbiega do środka i usiłuje zmiękczyć krewkiego małżonka, ale i jej się to nie udaje. Robi przepraszające miny w moim kierunku, tłumacząc jednocześnie, że on zawsze, biedaczek, taki nerwowy, jak się mu sprzeciwi. I ona ma z nim krzyż pański. Kiwam głową, bo żal mi kobiety, ale jednocześnie w duchu dojrzewa we mnie bunt, że taki wielki, dobrze odżywiony mężczyzna, pokrzykuje na mnie od pół godziny, nie mając do tego żadnych

podstaw. Na koniec jeszcze straszy, że złoży skargę w dyrekcji i u lekarza wojewódzkiego. Uśmiecham się do siebie. Jeszcze kilka lat temu w zupełności wystarczyłaby dyrekcja.

Oddycham z ulgą, kiedy oboje wychodzą i podążam za nimi na korytarz, gdzie jest znacznie chłodniej, niż u mnie w gabinecie. Słyszę jak mój pacjent właśnie robi awanturę pod rejestracją internistyczną. Okazuje się, że lekarz, do którego przyszedł na kontrolę, sam jest na zwolnieniu. Niezadowolony pacjent żąda adresu domowego lekarza, rejestratorka nie chce podać. Jeszcze długo słychać podniesione głosy...

\*

"Za dużo papierosów, za dużo alkoholu" - pomyślała smętnie, patrząc na podkrążone oczy. "Ale całość jeszcze interesująca" - dorzuciła z wisielczym humorem, raczej do Anki, niż ku własnemu pocieszeniu. Zawsze tak było, kiedy w jej życiu zjawiał się mężczyzna - zanim jeszcze cokolwiek się wydarzyło już była zdenerwowana... Lubiła tragiczne finały i ekstremalne rozwiązania. Zwykle pozostawiała na placu boju lekko zdezorientowanego osobnika, któremu wydawało się, że przez jego życie przetoczyła się kometa wzbudzając zamieszanie i kurz, pozostawiając posmak - niejasny i nieskonkretyzowany - owocu, którego mógł zaledwie mgliście odczuć aromat. Nawet niepodatni na stres mężczyźni woleli następnym razem sięgnąć po coś bardziej pewnego i spokojnego. Więc spotykała ją klęska. Liczyła na telefony, nalegania, prośby. Nic takiego jednak nie następowało...

- Nie przychodź do mnie więcej - powiedziała wtedy. Uśmiechnął się.

- Będiesz nieszczęśliwa - powiedział kpiąco.

- Poradzę sobie jakoś - udawała spokój, ale już czuła te

całe pokłady zdenerwowania, które zaczną się snuć po jej ciele jak gryzący dym, podpełzać pod krtań. Szarpać każdy nerw i mięsień.

- Jesteś zdumiewająco niekonsekwentna, jak na swój wiek - powiedziała Anka. - Potraktuj go lekko, nie angażuj się, nie przeżywaj.

Tego akurat nie potrafiła.

- Pamiętaj, że faceci nie znoszą takich neurotycznych idiotek - dodała jeszcze przyjaciółka.

Dobrze o tym wiedziała.

"Nienawidzę cię, dlatego, że cię Kocham" - usłyszała potem słowa piosenki i lżej jej się zrobiło na sercu, że przecież nie ona jedna...

### *Listopad*

Dni jakieś ciężkie i namoknięte deszczem. Rano przez otwarte okno wpęła oślizgłe od wilgoci powietrze i mgła. W poradni do południa musi się palić światło, bo jeszcze ciemno, od południa też - bo już jest ciemno. Cały tydzień przesuwa się omotany jesiennym mrokiem. Nic dziwnego, że nastroje wśród ludzi nie najlepsze, co chwila wybucha jakaś awantura między pacjentami na korytarzu, a i mnie przy okazji dostaje się, że za wolno przyjmuje. Na szczęście dochodzi piętnasta.

Wczoraj zadzwonił mój znajomy, też lekarz, który był zaproszony do stolicy na wernisaż znanej dosyć malarki, jego krewnej. Ponieważ wie, że interesują mnie takie wieści, barwnie opowiada o znakomitościach, które przewinęły się przez galerię, o toaletach pań, przystojnym przedstawicielu ambasady francuskiej... To wywołało wspomnienia.

Kiedyś moja przyjaciółka Basia przyprowadziła do mojego niewielkiego mieszkania, gdzie gości przyjmowałam na

dywanie, ogromnie przystojnego Francuza - początkującego dyplomatę. Chciał nabyć kilka akwarelek, podarowałam mu je w prezencie. Było wtedy u mnie kilka osób. Na dywanie leżała serweta, a na niej zastawa do kawy. Francuz był piękny. W pewnym momencie Kasia - początkująca aktorka i jak ja, wielbicielka Paryża - poprosiła Alaina, żeby powiedział coś w swoim ojczystym języku... Słuchałyśmy przypominając sobie tamten spacer bulwarami nad Sekwaną. Kasia, nie mogąc oderwać wzroku od Alaina (jakie on miał piękne oczy), wsypywała piątą łyżeczkę cukru do filiżanki.

\*

Kończę właśnie pisać krótkie opowiadanie.

- Napisałabyś lepiej powieść - mówi zza stosu czasopism moja Matka.

- Dobre sobie - myślę i aż ciarki przechodzą mi po grzbiecie. Ja miałabym napisać jakąś niekończącą się powieść, gdzie losy bohaterów trzeba przecież w sposób mniej więcej logiczny przeprowadzić od początku do końca, w jakiejś mierze wziąć za nie odpowiedzialność i to wtedy, kiedy moje własne życie wydaje się być porozrywane na strzępki, nieuporządkowane, kiedy ja sama nie mam nad nim kontroli...

Dobre sobie. Jedyne, co potrafię ujarzmić, to właśnie owe fragmenty, drobiazgi, wrażenia za ledwie, chociażby tamten zachód słońca, jakiś zapach rozszerzający się smugą i wydobywający na powierzchnię świadomości, jakieś wydarzenie. Tylko tyle...

Patrzę na moją Matkę i zastanawiam się, czy ona zawsze wiedziała, czy działała z żelazną konsekwencją, a wszystkie sprawy jej świata miały uzasadniony przebieg aż po dzisiaj-

szy dzień? A może to nie było tak, może dopiero dzisiaj ta jej Wielka Układanka nabiera ostatecznego obrazu i sensu, kiedy do pełni brakuje tylko kilku fragmentów?...

\*

Paulina poczuła lepka słodycz spływającą do gardła i przełknęła ją. Zawsze, kiedy była samotna i nieszczęśliwa, zaszywała się na poddaszu i jak dziecko objadała słodyczami. Wierzyła z naiwnością trzylatka, że ich smak potrafi zabić wypełniającą ją gorycz. Niestety, nic takiego nie nastąpiło i Paulina czuła się oszukana. Ale głównie wściekła na samą siebie - nie lubiła tej małej dziewczynki, tkwiącej w niej, w końcu dojrzałej, pełnej smutku kobiecie, której nic się w życiu nie udawało. Przeżywając resztkę słodyczy, Paulina zagapiła się na opuszczone o tej porze roku ogródki działkowe. Dopiero teraz było widać ich ubóstwo i smętek. Wiatr gonił po nich skrawki oderwanej folii, potęgując jeszcze uczucie niechłujstwa, latem litościwie skrywane pod eksplodującą zielenią. "Te ogródki są jak moje życie" - pomyślała i zawstydzila się taniego sentymentalizmu. "Prawda jest taka, Paulino, że do tej pory nie znalazłaś ani odpowiedniego mężczyzny, ani miejsca na ziemi, które mogłabyś chociaż w jakiejś mierze nazwać swoim" - powiedziała do siebie głośno. Ale i to nie przyniosło ulgi.

Próby zbudowania własnego życia w małym mieszkaniu były z góry skazane na niepowodzenie. Nieliczne, z trudem kupione meble stały jakoś tak bez wdzięku, jakby obrażone samym faktem, że je tam postawiono. Zachowywały się jak aktorzy w marnym przedstawieniu, którzy pocieszają się myślą, że zaraz zejdą ze sceny. O każdej porze dnia zaczęły ją nachodzić koleżanki nie mające własnego kąta ani słuchacza do zwierzeń. Pamiętała też mężczyzn, którzy zwietrzy-

wszy zdobycz z wolnym lokalem usiłowali wykrzesać z siebie pozory zainteresowania; telefony, kiedy zbyt szybko wypowiedziane słowa, zbyt łakomie, nie usiłowały nawet ukryć zwykłej żądzy krótkiej przygody. Ze wstrętem odkładała słuchawkę i ze zdumieniem myślała, że to byli przecież jej znajomi, których kiedyś lubiła.

\*

Lipcowe popołudnie zważyło się gorącym powietrzem i zaległo między starymi jabłoniemi. Wszystko ucichło. Na obszernym podwórzu i w domu zdawało się nie być żywej duszy. Nawet psy, których zawsze i wszędzie było pełno, uciekły w cień werandy. Tylko znad rzeki słychać było pokrzykiwania dzieciarni i głosy parobków pływających konie. Dom, rozbudowany bez ładu i składu przez kilka pokoleń, nie stanowił cudu architektury, ale był obszerny i pojemny, uwieńczony od przodu gankiem, wspartym na dwóch białych kolumnach. Usadowiony przed nim gazon z kwiatami, pomimo licznych zabiegów Jadwini, zwanej ciotką, zniszczony był przez kury i resztę inwentarza, a i dzieci miały w tym swój udział, traktując go jako znakomitą kryjówkę podczas różnych zabaw. Zresztą teraz nikt się już takimi sprawami nie przejmował. Nadciągała wojna...

Początkowo nie przejmowano się różnymi pogłoskami, które przynosili żebracy i wędrowni handlarze starzyzną. Dopiero kiedy dziadek, wróciwszy ze swoich wojaży, potwierdził te wieści, Jadwinia przestraszyła się nie na żarty. Tej nocy nie mogła zasnąć. Cóż ona pocnie z tym całym gospodarstwem, z dziećmi, z wiecznie nieobecny mąż - spojrzała z niechęcią na śpiącego. Jadwinia była jego drugą żoną. Pierwsza, jej zmarła młodo siostra, pozostawiła czworo małych dzieci i spory mająteczek, który domagał się

kobiecej ręki. Coś należało z tym zrobić. Wdowiec był jej obojętny, ale żał jej było siostrzenic, no i mogła spełnić swoje marzenie: mieć wreszcie własne gospodarstwo. W rodzinnym domu powitano jej decyzję z westchnieniem ulgi - pozostawały jeszcze cztery panny do wydania. To fakt, że wszystkie były jak malowanie, ale na rynku małżeńskim nie to przecież było największym atutem. Nastąpił więc we dworze czas Jadwini, zapanował porządek w domu i całym obejściu. Posiłki zaczęto podawać na czas, a głucha Maryna dwoiła się i troiła w kuchni, żeby dogodzić nowej pani. Dziewczynki miały włosy starannie uczesane i czyste fartuszki, ale ciotka niewiele ponadto miała dla nich czasu, zajęta a to konfiturami, a to wielkim praniem... Jak dawniej chodziły samopas po polach, albo uganiały się z wiejskimi chłopakami nad rzeką. Czyste fartuszki zdejmowały i starannie wieszały w sekretnym schowku, żeby wracając na obiad znowu je założyć - równie nieskazitelne, jak rano.

Potem pędem biegły w dół sadu, aż do miejsca, gdzie zaczynały się łąki pana Ochrymowicza, którego piękny i wielki dwór stał na wzniesieniu, koło klasztoru. Zanim dobiegło się do rzeki, należało szybko przebiec, koniecznie nie oglądając się, obok spichlerza, przy którym straszy. Tam właśnie powiesiła się córka właściciela, Halka. O tej historii pięknej i strasznej opowiadano sobie w miasteczku, a zaraz potem Żydówka Sara widziała jakoby obok spichlerza białą postać, która kiwała na nią ręką. Sara pracowała jako pomywaczka w gospodzie i powiadano, że lubi czasem zajrzeć do kieliszka... Utarło się jednak, że tam straszy, zwłaszcza dzieciarnia w to wierzyła. Grób Halki na miejscowym cmentarzu do wojny był zawsze ustrojony na biało, jak jeden wielki bukiet panny młodej. Przystojnego porucznika, w którym tak nieszczęśliwie była zakochana, wysłano daleko, nad czeską granicę.



Wiele takich historii opowiadano sobie wieczorami w kuchni. Zwłaszcza Jadwinia lubiła ich słuchać. Na to zawsze znajdowała chwilę czasu. Dziewczynki podsłuchiwały pod drzwiami z wypiekami na twarzach. Były to już jednak ostatnie takie chwile, kiedy pasjonowano się owymi miłosnymi historiami. Jak głucho dudnienie dalekiej jeszcze burzy nadciągały inne, niepokojące wieści. Ale te nie powodowały już takich dreszczy emocji, tego narastającego podniecenia, nie wywoływały gęsiej skórki, która zaczynała się gdzieś w okolicach pleców, a potem, w miarę opowiadania głuchej Maryny czy jakiejś innej Zośki, ogarniała całe ciało. Te wieści napępniały przygnębieniem i smutkiem tak przytłaczającym, że odechciewało się słodkich konfitur i nie kusily już otwarte drzwi do spiżarni. Domownicy w nagłym strachu wychodzili przed dom, gdzie popołudnie skłaniało się ku wieczorowi. Od ściany lasu szedł miły powiew chłodu, pobrzękiwały wiadra... Jadwinia, wydając dyspozycje do kolacji, co chwila ocierała oczy chusteczką, wzdychając ciężko. I nikt już się nie martwił zdeptanym gazonem, ani tym, że psy nanosiły znowu błota do salonu. Przyczajeni, czekaliśmy na Przeznaczenie, które miało nadejść i zmienić nasz świat.

### *Sierpień*

Wspaniały tydzień w Augustowie z Marią. Pogoda cudowna, spotkania z ludźmi, których nie widziało się cały rok. Pływamy całymi godzinami, skóra robi się coraz bardziej brązowa. Czasem ukrywam się w pokoju, żeby napisać kilka zdań. Iwona wyrywa mi z ręki zapisane kartki.

- Powinnaś pisać - gorączkuje się o drugiej nad ranem, przynosząc mi notatki.

Cieszę się, że tak uważa. Oblewamy to obie dobrym

winem.

- Czy znajdzie się jednak ktoś, kto zechciałby to wydać? - pytam.

- No to co? Pisanie do szuflady też ma swoje uroki. Zresztą ja zawsze chętnie przeczytam to, co napiszesz - mówi bez trosko.

No tak. Wzdycham cichutko.

### *Wrzesień*

Coraz bardziej pusto w ogrodzie. Ubywa kwiatów.

### *Listopad*

Cudowny wieczór u Teresy na Jarzębinowej. Siedzimy przez chwilę same, zaraz przyjdzie Iwona. Gospodyni co chwilę wybiega do kuchni, gdzie piecze się kurczak. Po powrocie znowu opowiada mi o swoim ostatnim pobycie w Essen. Zbyt entuzjastycznie - pewnie kryje się za tym jakiś mężczyzna. I nie myślę się...

Wpada jak burza Iwona i od razu robi się ciasno w małym, przytulnym mieszkaniu Teresy.

\*

Zupełnie przypadkowo dowiaduję się, że do Polski wpadła moja znajoma Anna - jest nawet w mieście. W kilka dni później dzwoni do mnie. Ostatnio widziałyśmy się kilka lat temu, kiedy też będąc przejazdem w kraju przyszła do mnie późnym wieczorem ze swoją siostrą Marią i z Norwegiem, który poszukiwał żony, koniecznie Polki. Anna zawsze znana była z niezwykłych pomysłów i okres, kiedy się z nią przyjaźniłam, należy do bardziej kolorowych w moim życiu. Robię herbatę i obie usiłujemy na wyścigi streścić

sobie te kilka lat życia. Norweg siedzi znudzony, potem robi nam zdjęcie. Anna i ja umawiamy się na następne spotkanie.

\*

W dużym, starym domu Teresa mieszkała z matką. Trwało to już wiele lat i miała wrażenie, że są ze sobą splecione nierozzerwalnym węzłem, czy też uściskiem, wykonując dzień w dzień te same figury jak w upiornym menuecie. Czasami ni z tego, ni z owego matka stawiała się wobec niej złośliwa, nieprzyjemna i zamykała się w ostępach jakiegoś niedobrego milczenia. Wyzwalało to w Teresie natychmiast poczucie winy za coś, co może przeoczyła, przemilczała, czy zaniedbała. I obłędny strach o zdrowie matki. Dni stawały się ciężkie, wisiały w powietrzu nabrzmiące i gorzkie. Nie było dokąd uciec. I nie chodziło wcale o inny dom, inne miejsce czy ludzi. Próby stworzenia sobie własnego świata zawiodły Teresę, były żalosne i nieudane. Może trafiła na zły grunt, niewłaściwych ludzi czy czas. Nad tymi poczynaniami stał ironicznie uśmiechnięty cień matki. Zaprzestała więc i wróciła jak syn marnotrawny. Przestała kruszyć kopie, a nawet o tym myśleć. Jeśli kogoś obarczała winą, to tylko siebie i w sobie upatrywała wszelkich niedoskonałości.

\*

Z upływem lat konary drzew rozrastały się i oplatały coraz ciaśniej ogród. On sam również zmieniał swoje oblicze, stając się coraz bardziej zdziczały. Każdej wiosny odkrywaliśmy ze zdumieniem nowe krzaki, które wzięły się nie wiadomo skąd, wdzierając się zaborczo w grędy warzywnika. Pokrzywy zarastały całą tylną część ogrodu, a ogromne, przysadziste liście łopianów ogłuszyły posadzo-

ne pod płotem maliny. Młode sadzonki drzew śliwkowych pięły się w przerażeniu coraz wyżej i wyżej, zapominając w tym obłąkanym pędzie urodzić chociażby parę owoców.

Bliżej domu też nie było lepiej. Wystarczyło zajrzeć do studni, gdzie kłębiły się jak żmije korzenie topoli. Altana pojękiwała w żelaznym uścisku dzikiej winorośli, która zasadzona tak niedawno, rozrastała się podstępnie. Dom zmałał i skurczył się trzymając się skrawka nie zarośniętego placu. Wśród codziennej bieganiny nie widzieliśmy tej inwazji, nie dostrzegaliśmy walki o każdy skrawek przestrzeni.

\*

Matylda wsiadła do zatłoczonego autobusu. Dzień był wyjątkowo ciepły i teraz było jej za gorąco w wełnianej sukience. Czowała jak między łopatkami ścieka strużka potu. Na szczęście zwolniło się miejsce przy oknie. Zajęła je z westchnieniem ulgi i postawiła pełne siatki przy nogach. Mogła teraz pograć się w rozmyślaniach. Pewnie, że Zośka miała rację, bogatych i przystojnych mężczyzn nie spotyka się w miejskiej komunikacji - przypominała sobie ostatnie słowa przyjaciółki. Spotkały się na chwilę w pobliskiej kawiarni. Matylda, popijając kawę, nerwowo zerknęła na zegarek, wyprowadzając tym przyjaciółkę z równowagi.

- Gdzie się tak spieszysz z tymi siatkami, wyglądasz jakbyś miała piątkę dzieciaków na utrzymaniu. Jak tak dalej pójdzie przejeździsz życie autobusem i tyle będziesz z niego miała - zakończyła złowrogo.

- Ale przecież rodzice... muszę im robić zakupy - usiłowała się bronić.

- Przestań - nie dała jej dokończyć Zośka. - Wiem, że trzymają się nieźle, a twoja nadopiekuńczość wcale nie jest im potrzebna. Zajmij się lepiej sobą, zrób coś z włosami i

przestań wreszcie siedzieć w książkach. Spójrz lepiej na mnie. Do starych zaglądam raz w tygodniu i to o jeden raz za dużo. Najlepiej jest, jak się do siebie nie wtrącamy. Oni mają swoje życie, a ja swoje.

Zosia potoczyła wzrokiem po okolicznych stolikach, ale widocznie nie zauważyła nic ciekawego, bo znowu spojrzała na Matyldę.

- Boże, jak ty wyglądasz - jęknęła - ten niemodny kok i ta sukienka. Wyglądasz jak zakonnica - ubolewała.

"Muszę rzeczywiście coś ze sobą zrobić" - myślała Matylda jadąc autobusem. Nie chciało jej się wracać do domu, gdzie zapewne, jak roje uprzykrzonych owadów, dopadną ją problemy rodziców. Wieczne narzekania, pretensje o wszystko, głównie o uciekające byle jak życie rozmienione na żebraczą rentę. I o cały podły świat, który ofiarował im tylko choroby, a mózg zamienił na bezbarwny, przyprawiony sklerozą koktajl. Matylda to rozumiała i współczuła im, ale czasami narastał w niej bunt, tłumiony jednak skutecznie poczuciem obowiązku. Niemniej jednak przy nich sama zaczynała się czuć stara i chora. Słońce paliło przez szybę niemiłosiernie.

"Teraz - pomyślała - wedle reguł, którymi rządziły się opowiadania zamieszczone w kobiecych pismach, zniechęcona i pozbawiona widoków na przyszłość bohaterka powinna spotkać na swojej drodze wspaniałego mężczyznę, otrzymać list, albo chociażby przekaz na sporą sumę pieniędzy. W każdym razie powinno wydarzyć się coś, co zmieni jej dotychczasowe życie". Rozejrzała się po współpasażerach - mężczyźni byli szarzy, źle ubrani, zmęczeni tak jak ona. Odwróciła się z niechęcią. "Swoją drogą, co za idiotki wyobcowane z życia muszą pisać te wszystkie opowiadania" - przeszło jej przez głowę.

Autobus gwałtownie zahamował, Matylda słyszała, jak

kierowca posyła wiązkę wyszukanych przekleństw w stronę niedoszłej ofiary. Część pasażerów solidaryzowała się z nim, inni byli przeciw. Słuchała przez chwilę narastającej kłótni, potem wróciła do własnych niewesołych rozmyślań. To prawda, jej sprawy nie układały się najlepiej. Ostatnio coś się w niej zacięło, popsulo. Nie potrafiła już nawiązać tak łatwo kontaktu z ludźmi jak kiedyś. Zauważyła, że często w czasie rozmowy nagle zsuwała się w głąb siebie samej, w jakieś mroczne, lepkie ciemności, tracąc wątek rozmowy. Patrzyła na rozmówcę, widziała jak poruszają się bezgłośnie jego usta, a w niej dojrzywała z każdą minutą chęć ucieczki. W gardle rosła wielka, włochata kula.

"Przecież jeszcze nie zwariowałam" - myślała po kolejnym nieudanym spotkaniu. "Ale jesteś na dobrej drodze" - podpowiadał jej jakiś głos w środku.

Ludzie ją nudzili, nasączeni jak gąbka słowami pozbawionymi znaczenia. Wylewali je z siebie potokami, żeby później - w prawie niezmienionej wersji - powtarzać je komuś innemu. Wyobrażała sobie, że gdyby wziąć w ręce rozmówcę i wycisnąć - niewiele by z niego zostało - coś jak zewłok wyrzuconej na brzeg meduzy. Zawsze to porównanie przesładowało ją, kiedy słuchała nie kończących się wywodów koleżanek. Zdecydowanie wolała samotność z kojącą, aksamitną ciszą. Chociaż z drugiej strony...

"Czego ty właściwie chcesz? - pytała swego odbicia w lustrze - ludzi trzeba słuchać, oni tego potrzebują, jeśli nie ulegniesz, zostaniesz sama. Ale przecież - buntowała się jakaś częśćka jej samej - może w końcu jest na świecie ktoś, kto potrafi milczeć?"

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne? - zapytał ciepły, męski głos.

- Tak - burknęła.

Dopiero potem spojrzała przed siebie. Zdecydowanie był

to typ mężczyzny, o którym opowiadała Zośka - dobrze ubrany, przystojny. Tylko dlaczego wszedł do autobusu, powinien jeździć dobrym samochodem - zastanawiała się.

- Elżbieta, nie poznajesz? - usłyszała, a kiedy odwróciła głowę w jego stronę, zaskoczył ją nieskazitelnym uśmiechem. "Jeszcze i to" - jęknęła w duchu. Jakaś skaza, defekt, bardzo by ją w tym momencie pocieszył.

- Naprawdę nie poznajesz? - kontynuował nieznajomy z uśmiechem. - Minęło kilkanaście lat, ale do licha, chyba się tak nie postarzałem? Bo ty nic się nie zmieniłaś. A zwłaszcza twoje włosy, równie piękne jak kiedyś.

Matylda westchnęła cichutko. Boże! Że też jej muszą się przytrafiać takie historie. I już czuła niechęć do tej Elżbiety z pięknymi włosami, dla której komplementy były przeznaczone. "Muszę go uświadomić, że zaszła pomyłka, jeszcze gotów mnie zaprosić na kawę" - myślała gorączkowo.

- Pan się myli - powiedziała dosyć chłodno, nie odwracając tym razem głowy. - Nie mam na imię Elżbieta i widzę pana po raz pierwszy w życiu.

- Rzeczywiście - roześmiał się, wcale nie zmartwiony tym faktem. - A jak naprawdę pani na imię?

- Matylda - odburknęła.

- Też ładnie - powiedział i dodał: - Jest pani uderzająco podobna do mojej koleżanki. Ale z bliska może rzeczywiście... inny wykrój oczu i ust, w każdym razie przepraszam. Naprawdę myślałem, że to ona.

A ją nagle ogarnęło zniechęcenie. Musiała mu nieźle zależeć za skórę ta Elżbieta, że do tej pory pamięta wykrój jej ust. Nie miała ochoty kontynuować rozmowy z tym przystojniakiem. "Przecież i tak nic nigdy mi się nie udaje" - myślała, wyskakując z autobusu o jeden przystanek za wcześniej.

Michał celowo wsiadł do autobusu. Już wcześniej zauważył tę dziewczynę, czy też może kobietę. Miała drobną, lekko piegowatą twarz i ogromną aureolę rudobrazowych włosów. Delikatna, wiotka postać ubrana w przydługą wełnianą suknię w ciemnym kolorze. Wyglądała tak, jak gdyby zabłądziła z innej bajki. Tyle zdążył zauważyć, siedząc za kierownicą swego samochodu. I jeszcze to, że w obu rękach dźwigała ciężkie siatki. Kiedy zapaliło się zielone światło, ona ruszyła przez przejście z tłumem osób. A jemu wydawało się, że porusza się oddzielona jakąś niewidzialną otoczką.

"Może ma męża i kilkoro dzieci" - zastanawiał się. Ale chyba nie. Było w jej postaci coś zwiewnego, eterycznego, co raczej przypominało postaci z baśni, którymi raczyła go babka. Jakieś zaklęte księżniczki, czy dziewczynki z zapalnikami.

Dziewczyna zatrzymała się na przystanku. Wyraźnie oczekiwała na autobus. Musiał działać szybko, zaparkował samochód w sąsiedniej uliczce i wrócił na przystanek. Stał nieopodal niej i teraz mógł się dokładnie jej przyjrzeć. Nie była piękną w potocznym znaczeniu tego słowa. Drobną, blada twarz bez makijażu, o regularnych rysach miała w sobie coś ponadczasowego. No i te włosy!

Michał czuł, że dziewczyna nieodparcie go pociąga. Przez chwilę pomyślał o tych wszystkich "narzeczonych", które przewinęły się przez jego życie w równej mierze pożądamy jego, co i jego samochodu i pieniędzy. Uwielbiały pokazywać się z nim w towarzystwie, jak z rasowym psem czy kotem. Uwieszone na jego ramieniu, czuły się posiadaczkami. Po jakimś czasie zniknęła gdzieś łagodność i czułość, którą promieniowały na początku, cała kobieca przymilność



ulatniała się jak mgła. Stawały się drapieżne i wymagające. Żądały więcej i więcej, dając w zamian tak niewiele. Rozmowy stawały się coraz bardziej ubogie, ograniczały się do pytania o lokal, w którym zjedzą wieczorem kolację. Najgorsze jednak było to, że niemal wszystkie dziewczyny były prawie takie same, nawet ciuchy nosiły podobne, nierzadko z tego samego butik. Mówiły podobne słowa i nazywały go "Misiu". Wszystkie. Michał otrząsnął się z obrzydzeniem. Zastanawiał się czasem, czy na świecie są jakieś inne kobiety, dokładnie nie wiedząc, na czym owa inność miałaby polegać.

Kobieta inna niż wszystkie - kwitował jego rozterki przyjaciel. Koledzy nie mieli takich problemów: Bierz, co dają - mówili - na filozofię będziesz miał czas później.

Może mieli rację, tyle, że rano budził się z niesmakiem i poczuciem straconego czasu. Dopiero teraz... Nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia. Prawdę mówiąc nie wierzył, że coś takiego może mu się jeszcze przydarzyć. A teraz biegł na przystanek za dziewczyną, która nie raczyła nawet rzucić na niego okiem.

Nadjechał autobus. Ona zajęła miejsce przy oknie. Michał stanął obok licząc, że spojrzy w jego stronę. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Była pogrążona we własnych myślach. Raz tylko, kiedy autobus gwałtownie zahamował, rozejrzała się wokół, ale jej wzrok pozostawał nieobecny. Każdy przystanek uświadamiał mu, że mogła wysiąść! Wreszcie zwolniło się obok niej miejsce. Odważył się odezwać:

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne? - zapytał, pokonując lekkie drżenie głosu. Usłyszał odpowiedź twierdzącą, a potem zobaczył jej świetliste, szare oczy, którymi patrzyła na niego tak, jak gdyby był przydrożnym krzakiem. Bez cienia zainteresowania. Jęknął w duchu. Potem zadał jeszcze kilka niemądrych pytań. Odpowiadała krótko, nie do-

puszczając do nawiązania rozmowy. I nagle, bez uprzedzenia, wysiadła. Owionął go lekki, delikatny zapach, którego nie potrafił określić. Nie zdążył za nią wybiec. Widział jeszcze przez szybę, jak stoi na przejściu. Jej twarz była nadal pełna smutku. I te dwie ciężkie siatki. Nawet nie domyślała się, z jaką rozkoszą pomógłby je nieść po schodach.

### *Styczeń*

Poszłam do miasta na zakupy, mając niewiele pieniędzy, chociaż to dopiero połowa miesiąca. Nic dziwnego, że wróciłam niezadowolona, zła i zziębnięta.

### *Luty*

Tolek Ch. nie żyje. Miał wypadek samochodowy. Pamiętam, jak dwa miesiące temu siedzieliśmy w strasznym tłoku u Iwony i Tolo, tryskający humorem, opowiadał o swoim pobycie w Stanach. Ktoś przyniósł butelkę wina. Wspominaliśmy nasze wspólne wyjazdy w góry...

Dzisiaj, kiedy Iwona przekazywała mi tą straszną wiadomość, miała w oczach łzy. Zapalała kolejnego papierosa. To już dwoje Nieobecnych z naszej paczki. Najpierw Ewa, teraz Tolek...

### *Marzec*

Śnieg spadł właściwie nie wiadomo po co. Teraz się topi i znowu jest pełno błota. Chodzę do pracy, czytam, czas przecieka mi przez palce. Powinna zrobić kilka projektów okładki do swojej książki, ale brak mi chęci. Wszystko wydaje się ponad moje siły. Czytam jeszcze raz ostatnio napisane fragmenty. Wydają mi się jakieś niedopracowane, bez głębi. Znowu jestem niezadowolona.

## *Kwiecień*

Błoto, mgła, czasem deszcz. Po pracy jestem tak zmęczona, że nie mam siły na nic. W poradni tłumy pacjentów. Zapłaciłam czynsz z wyrównaniem i znowu nie mam pieniędzy. Wczoraj wpadł do mojego gabinetu pan M. ze swoją dużo młodszą siostrą, która jest moją pacjentką. Zauważyłam, że wyraźnie szuka pretekstu, żeby jeszcze przedłużyć wizytę, a jego wzrok zbyt często i zbyt wymownie zatrzymują się na mnie. Rozbawiły mnie te podchody.

## *Czerwiec*

Te dwa dni w Białowieży wyrwały mnie w nieoczekiwany przyjemny sposób z rzeczywistości. Rano, ale nie za wcześnie, pukał do moich drzwi właściciel hotelu i pytał, czy śniadanie zjem w pokoju, czy zejść na dół. Odpowiadałam łaskawie, że zejść. Och ta Teresa! Potrafiła wszystko doskonale urządzić! Czułam się jak zamożna, rozpuszczona dama. Poza tym spacerowaliśmy i dużo rozmawialiśmy. Szczególnie pamiętam długi spacer po rezerwacie, wśród dzikich zupełnie ostępów, między zwalonymi pniami drzew. Po dwóch dniach, niestety, musiałam wracać. Dostałam jeszcze na koniec w prezencie pudło ciasta od mojej pacjentki Jasi, właścicielki piekarni, a specjalnie przywołany na tę okazję pewien pan z Wołomina odwiózł mnie białym mercedesem do domu. Śmiał się głośno widząc mój strach, kiedy z szybkością 120 km pokonywał zakręty.

Pamiętam, jak przed laty właśnie Teresa startowała ze swoimi opowiadaniem w Wiośnie Literackiej. Przyjechała do mnie w przeddzień pełna tremy. Pamiętam też Wiesława Kazaneckiego z tamtych spotkań w empiku i jego długie nogi, które po wyprostowaniu sterczały daleko poza stolik. Uśmiechał się do wszystkich jakoś tak nieśmiało, jakby prze-

praszącą. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że widzę go po raz ostatni. Zresztą nie tylko jego. Wkrótce potem zmarł młody, początkujący i chyba niezły poeta Zbyszek P. Był moim pacjentem swego czasu i nawet przynosił mi wiersze do czytania. Niestety, nałóg w którym tkwił po uszy, wykonał swój wyrok. Widziałam później w witrynach kiosków Ruchu mały, niezbyt dobrze wydany tomik jego poezji "Mężczyzna nigdy nie płacze".

Wtedy, podczas Wiosny Literackiej, siedziałam przy jednym stoliku z Sokratem Janowiczem. Okazał się znakomitą rozmówcą i później, w Astorii na obiedzie, nie mogliśmy się do syta nagadać. Zapamiętał mnie widocznie, bo kiedy w rok później podpisywał swoją książkę "Białoruś, Białoruś", od razu wpisał moje imię i nazwisko w dedykacji i jeszcze te miłe słowa: Pani Annie z podzięką, za serdeczność i zrozumienie. Było to w dniu moich imienin, dlatego pewnie u dołu dorysował kwiatek, który wyglądał jak nasz chaber, a po białorusku nazywał się wasilok.

Moja koleżanka Terenia dostała trzecią nagrodę i wyjechała nie do końca usatysfakcjonowana. Odprowadziłam ją na dworzec. Było mi smutno i na pociechę zjadłam resztę szarlotki, którą upiekłam na jej cześć, popijając winem.

Teraz ja, dziwną koleją losu, byłam w Białowieży, na konkursie ekologicznym, który organizowała Teresa i też nie byłam zadowolona z trzeciej nagrody, co ona starała się mi wynagrodzić jak umiała. Znała już ten ból.

\*

Ciotka Marysia była, jak na owe czasy, kobietą dziwną i niezwykłą. Ogromnej urody, mieszkała sama w białym dworcu, który stał malowniczo nad strumykiem. Często siadywała na ganeczku i grywała na gitarze. Trzeba przyznać, że talent

miała niemały - równie po mistrzowsku grała dumki ukraińskie jak i muzykę klasyczną. Dźwięki toczyły się w dół ogrodu, osiadały na zmoczonej rosą trawie, inne opierały się hen, o ścianę lasu. Marysia skończyła jakąś pensję, ale nie miała określonego zawodu. Żyła z małej renty czy też spadku po krewnych i prowadziła życie bardzo odosobnione. Co, oczywiście, było nieustannym źródłem plotek w całym miasteczku. Dlatego rzadko i z niechęcią pojawiała się w aptecze czy w kościele. Zwykle posyłała po sprawunki głupią Zośkę, która najmowała się do każdej posługi.

- Dumna jaka, nie chce się z nami zadawać - mówili z niechęcią mieszkańcy miasteczka. Ale dawali jej spokój.

Młodzi mężczyźni, których niepokoiła uroda Marii, usiłowali odwiedzać ją, ale jej ciemne oczy patrzyły na nich obojętnie. Właściwie nie na nich, a ponad nimi, gdzieś dalej...

- Dziwna jakaś kobieta - zwierzali się sobie później, w kawiarni. - Patrzy na ciebie jak na powietrze - mówili z niesmakiem i odchodzili do hożych aptekarzy.

Wkrótce zaczęto szeptać po kątach, że oczy Marii rzucają zły urok. Chowano przed nią dzieci, a kobiety pluły dyskretnie przez lewe ramię po trzykroć, żeby odczynić zło, kiedy widywano ją na głównej ulicy.

- Tfu, czarownica jedna - rzuciła jawnie za nią największa plotkara w miasteczku, Gawrychowa. Jej dziecko zmarło niedawno na jakąś bliżej nieokreśloną chorobę. Adamek, bo tak miał na imię ten chłopiec, zakradł się kiedyś do ogrodu Marii, po jabłka. Niespodziewanie natknął się na właścicielkę, która poczęstowała go cukierkiem. W tydzień później dzieciak zaczął gorączkować, a majacząc mówił coś o ciemnych oczach. Na skutek tych plotek wokół Marii powstała pustka. Nawet głupia Zośka bała się ją odwiedzać. Dopiero złowrogie odgłosy wojny odwróciły od niej zainteresowanie ludzi.

Któregoś dnia kościelny Antoni wpadł do miasteczka z wieścią, że ciało "tej czarownicy" znaleziono na łące, tam, gdzie było najwięcej kwiatów, w miejscu ulubionych spacerów zakochanych. Miała łagodny uśmiech, jej ciemne oczy były szeroko otwarte. Z pewnością została zamordowana, ale ustalenie sprawcy było niemożliwe. W zawierusze, która nastąpiła, w przepływie całej masy ludzi, śmierć Marii nie wzbudzała już emocji. Mógł ją zabić ktokolwiek.

### *Augustów, sierpień*

Wieczorami wszyscy zwykle spotykaliśmy się na dole w barze. Rozmawiało się o wydarzeniach dnia, komentowało obejrzone wcześniej filmy. Pamiętam, że tamtego wieczora przewinęło się wyjątkowo dużo ludzi. Nastrój był znakomity, parę osób zaczęło tańczyć przy muzyce. Kilka stolików dalej siedział Andrzej Zaorski, przed chwilą był też jego brat. Nagle otworzyły się drzwi i na salę wszedł znany krytyk filmowy. Zbliżył się chwiejnym krokiem do mikrofonu i powiedział:

- Cześć, to ja, wasz potwór.

- Rzeczywiście, trafnie to ujął - powiedziała w zamyśleniu Maria.

Był potworem, kimś kogo podziwialiśmy i kimś jednocześnie, kto budził w nas strach. Pamiętam jego znakomite prelekcje, znamionujące wybitny intelekt i ogromną wiedzę. I później nasz strach, kiedy zaczynał pić, kiedy po nocy obijał się po pustych korytarzach z własną duszą pod ramię. Boże, jak on strasznie pił, z jaką zajadłością niszczył własny organizm, tępił ciało, żeby nazajutrz po południu przychodzić do mnie po tabletki przeciwbólowe, glukozę, kawę.

Babcia Stefania była osłoda i pociechą całej dzieciarni z naszej dzielnicy. To do niej biegliśmy najpierw ze wszystkimi naszymi problemami. Ona pierwsza opatrywała skaleczenia i rany, zanim wróciło się do domu. Przykładała nam jakieś listki i zioła, zawiązując okaleczenia czystym gałgankiem. "Teraz już nie będzie bolało" - mówiła dobrotliwie, a jej wyblakłe niebieskie oczy patrzyły na nas ciepło z twarzy pofałdowanej tysiącem zmarszczek.

Kochaliśmy babcię Stefanię. Niewątpliwie również dlatego, że piekła najlepsze na świecie napoleonki. Mieszkając najbliżej, byłam najczęstszym gościem w jej domu. Moja Matka chętnie mnie tam pozostawiała idąc do pracy. Drzwi były zawsze otwarte, dosłownie i w przenośni. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni. I te do ciemnej sieni, i te do wielkiej kuchni, gdzie przysiadł ogromny, nagrany piec. Nie brakowało nigdy ciepła, którego nadmiar wędrował przez wysoki próg aż do ogrodu układając się między jabłoniemi.

Mimo wczesnej pory babcia Stefa królowała przy stole popijając ulubioną herbatkę, ciemną i mocną, którą przegryzała kawałeczkami cukru z małego spodeczka. To był jej codzienny rytuał i jedyna chwila wytchnienia. Uczestniczyłam we wszystkich zajęciach, które następowały później, aż do schyłku dnia: wtedy należało przyprowadzić krowy z pastwiska, które potem Antoni, hojnie rozdzielając szturchańce, zapędzał do obory. Nie lubiłam Antoniego i był on jedyną mroczną plamą mojego dzieciństwa. "Chodźże dziecko na herbatkę" - mówiła Stefania, utrudzona powrotem z pastwiska. Siedziałyśmy przy stole. Na oknie roje much tańczyły w obłędym pląsie. Słyszać było dźwięk wiader przy studni... Prawie zasypiałam, kiedy moja Matka brała mnie na ręce i niosła do domu.

Rano nie mogłam się doczekać widoku płomieni tańczących w otwartych drzwiczkach pieca i zapachu świeżych polan zalegających kuchnię. Dzisiaj przecież miałyśmy piec pieróg z kapustą. Nie czekając na Matkę, pędziłam przez znajomą dziurę w płocie. "Babciu, nie zapomniałaś, prawda?" - pytałam rozgorączkowana od proggu. Stefania w białej chusteczce na głowie i fartuszkowi kiwała głową znad szklanki herbaty. Patrzyłam na nią z zachwytem. Była taką śliczną babcią.

Rodzice często wyjeżdżali. Pamiętam, że po dłuższej nieobecności wrócili i Stefania odprowadziła mnie na moje podwórko, które wydało się puste i nieprzyjazne. Kiedy już rozpakowałam prezenty i ładnie je poukładałam w moim zakamarku za szafą, wzięłam babcię za rękę i powiedziałam zdecydowanie: Idziemy do domu.

### *Marzec*

Męcząca jest ta pogoda przetykana gęsto wiatrem i deszczem. Rozklejone zwaly brudnego śniegu. Poruszam się jak w sennym koszmarze - krok do przodu, dwa do tyłu. W jakiś dziwny sposób przypomina to moje życie. Zresztą nie tylko moje. Marii też. Podobno jakakolwiek decyzja jest lepsza od żadnej, ale w tej chwili jest już za późno. Wyrzucam sobie brak zdecydowania we właściwym czasie, na pocieszenie tylko dodając w duchu, że przecież gra i tak nie była warta świeczki. Tylko dlaczego jest mi tak smutno? Ktoś mądrze napisał, że lepiej cierpieć z powodu zła, niż z powodu nijakości. Cóż, kiedy akurat mnie przydarzyła się ta druga ewentualność. Cierpię podwójnie zatem...

\*

Barbara czuła, że sytuacja ją przerosła. Rzadko kiedy traciła panowanie nad sobą. Tym razem jednak było inaczej.



Przede wszystkim cała sprawa zaskoczyła ją zniechęca - nie była na coś takiego przygotowana. Traciła wtedy grunt pod nogami i trzeźwy osąd. Już sam widok własnej twarzy w lustrze, kiedy wróciła tamtego wieczoru, był zadziwiający. "To naprawdę ja?" - pomyślała. Z oczu znikł odwieczny wyraz smutku, który powlekał dodatkowo jej rysy jakąś mieszaniną zmęczenia i rezygnacji. Rozpuszczone włosy pyszniły się gęstwiną, trochę spletaną i wilgotną od mgły. Mimo że pomadka dawno starła się z ust, one same, w dziwny i niepojęty dla niej sposób, lśniły jakąś samoistną czerwienią. Wzruszyła ramionami z lekką ironią - co może zdziałać przystojny facet, żaden makijaż tego nie potrafi. A jednak uciekła. Umknęła przed palącym spojrzeniem jego oczu i niecierpliwością jego rąk. "Jak to się mogło stać, że w ciągu kilku godzin, od kiedy zauważyła na sobie jego spojrzenie, lgnęli do siebie, jak gdyby świat miał się zaraz rozlecieć na tysiące kawałków" - myślała gorączkowo.

"To tylko chemia" - powiedziałaaby jej przyjaciółka Maria. Może. "A jeśli on tak lgnie do każdej ładniejszej kobiety?" - zapytała jadowicie ta druga, stojąca obok.

Wzruszyła ramionami. No tak. Jest taki przystojny, widziała zresztą spojrzenia jakie mu posyłały jej koleżanki. Sam zresztą mówił, że nie stroni od płci pięknej. "Psiakrew - zaklęła - nie spotkam się z nim więcej". I nagle, prawie namacalnie, poczuła jego gorące, miękkie wargi na swojej szyji. Zapaliła papierosa. Przypomniła sobie tamtą rozmowę w barze na dole. Zaraz, zaraz, jak to było... Że jest niecierpliwy i nie potrafi długo zdobywać kobiety, że chciałby przeżyć wspaniałą romans, że rzeczywistość jednak... itd., itd. Wtedy prawie ją znudził. Bawiła się obserwując jego piękną twarz i czarne włosy.

- Masz oczy kota - powiedział nagle. Miał zwyczaj przeskakiwać z tematu na temat bez troski o zachowanie logiki

i to było zajmujące.

Roześmiała się. Podrywał ją w sposób prawie klasyczny, zgodny z regułami, które znała i które zazwyczaj budziły w niej odrazę. Nie potrafiła sobie jednak tych spotkań odmówić, ani też przestać o nim myśleć prawie bezustannie.

Tamtego wieczoru pomyślała, że właśnie tak zrobi. I zaraz potem poczuła żal nad samą sobą. Oglądając wieszaki wypełnione eleganckimi ciuchami myślała bez przerwy, że przecież jest cholerną masochistką i nawet znajduje pewne upodobanie w tym późniejszym cierpieniu. Znowu przypomniała sobie ciemne brwi wygięte w łagodne łuki i orzechowe oczy Andrzeja. Nie wiedziała i nawet nie chciała wiedzieć, na ile jego zauroczenie nią było prawdziwe, a na ile wyrachowaną grą. "Teraz przynajmniej nie będę musiała się o to martwić" - pomyślała, ale nie przyniosło jej to żadnej ulgi. Kiedy wpadła na ten szatański pomysł, nawet nie wiedziała jak bardzo okaże się skierowany przeciwko niej samej. Zapamiętała zachwycone oczy Andrzeja, które patrzyły na nią podczas pierwszego spotkania, kiedy nie kryjąc się z tym, starał się być jak najbliżej niej, dotykając z lekka jej włosów, czy też skrawka żakietu. A jednak...

Urszula była śliczna, młoda i świeża.

- Odwieź ją do domu - powiedziała, kiedy wszedł.

Spojrzał na nią z żalem.

- A potem już nie wracaj - dodała - będę zajęta.

Po ich wyjściu nalala sobie koniaku i zapaliła papierosa. "Może nie mam mu tak wiele do ofiarowania, zresztą nie czuję się na siłach, jest taki młody i taki piękny - myślała. - Skąd wiesz, głupia - może wam by się udało" - usłyszała jakiś głos w sobie. Wypiła kolejny koniak.

Jednak nie wrócił po odwiezieniu Uli. To dotkliwie zabolowało. Zadzwonił dopiero za dwa miesiące.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? - zapytał. - Wiem, że nigdy mnie

nie chciałaś, ale czy musiałaś w ten sposób?

- Chciałam, żebyś znalazł sobie miłą, młodą dziewczyną, taką, którą i ja mogłabym lubić - odpowiedziała.

## *Lipiec*

Prawie koniec lipca. Dni płyną niemal nie zauważone, chyłkiem przemykają, układając się w jednolite pasmo. Dopiero później, na jakimś zakręcie, kiedy wszystko zaczyna iść wspak, chętnie do nich wracam. Wspominam, smakuje. Jak anyżkowy cukierek z dzieciństwa. Chociaż nie było w nich doprawdy nic nadzwyczajnego, oprócz zapachu wszechdobylskiej zieleni, ogrodu pociętego promieniami słońca w pogodny dzień, szczekania psów, sąsiedzkich pogaduszek...

\*

Mojego kolegę spotykam zupełnie przypadkowo. Po kilkunastu latach. Należał w ogólniaku do naszej paczki. Zawsze zastanawiano się, co z niego wyrośnie, ponieważ miał tysiąc pomysłów na godzinę, a jeden bardziej wariacki od drugiego. Uczył się średnio, ale był niesamowicie zdolny. Straciłam z nim kontakt zaraz po maturze i nawet trochę było mi żal...

Tego właśnie dnia, idąc ulicą, rozmyślałam jak zwykle nad jakąś frapującą kwestią, kiedy ktoś potrząsnął mnie za ramię. Spojrzałam trochę nieprzytomnie. Jakiś brodaty facet stał obok i uśmiechał się od ucha do ucha. Pomyślałam tylko, że ma ładne zęby i już chciałam odejść, kiedy on zapytał z niejaką pretensją w głosie:

- Anka, co ty, nie poznajesz ludzi?

Zrobiło mi się głupio, ale absolutnie nie wiedziałam z kim mam do czynienia.

- Daję ci dwie minuty - powiedział. - Jeśli nie przypomnisz

sobie, zapraszasz mnie na kawę, jeśli tak, to ja stawiam. Dla ułatwienia dodaję, że mieszkam dwa kroki stąd.

Tak. Teraz sobie przypomniałam, ale tylko dlatego, że wspomniał o tym mieszkaniu. Andrzej. Ten szalony Andrzejek. Przecież to był taki chudy, czarny chłopak. Owszem, przystojny, ale żeby aż tak? Nie mogłam wyjść z podziwu, jednak nie dałam tego po sobie poznać. Mężczyzn nie należy rozpuszczać komplementami. Uśmiecham się więc tylko najładniej jak umiem. Ponieważ zgadłam, zaprasza mnie na kawę.

Przypomniałam sobie jego mieszkanie - wysokie, ciemne pokoje urządzone antykami i... gosposia. Matka mojego kolegi, była ziemianka, nigdy jawnie nie okazywała niezadowolenia, kiedy wpadałyśmy do Andrzeja zaraz po lekcjach całym stadem. Wychodziła do przedpokoju, uśmiechała się chłodno, lustrując krytycznie nasze kuse spódniczki. Zawsze się jej bałam i teraz pod drzwiami mieszkania państwa W. uczułam, tak jak dawniej, coś na kształt strachu. Mój kolega uprzedził mnie, że właśnie dzisiaj odbywa się spotkanie towarzystwa byłych ziemian i żebym się nie przejmowała, bo on nadal ma w tym domu swój pokój. Z przedpokoju zerknęłam z ciekawością do salonu. Za wielkim, antycznym stołem siedziało kilka postarzałych pań w towarzystwie równie posuniętych wiekowo mężczyzn.

- Kilku panów jest stanu wolnego - szepnęła mi konspiracyjnie pani domu - same dobre, ziemiańskie nazwiska.

Z trudem pohamowałam chichot.

- Coś ty, mamuśka, popchnęłabyś naszą Haneczkę w objęcia jakiegoś wyliniałego kocura? - zaśmiał się Andrzej.

Jego matka przymknęła drzwi do salonu, przewracając ze zgrozą oczami. Szybko weszliśmy do pokoju kolegi. Nic się tu prawie nie zmieniło.

- Wiesz, lubię, żeby było tak jak zawsze, kiedy wpadam

tu z Paryża - powiedział mój kolega rozsiadając się wygodnie w fotelu.

"Znowu Paryż" - jęknęłam w duchu. Zdawać by się mogło, że wszyscy moi znajomi tylko wpadają tu z Paryża, a mnie jakoś tak nie wychodzi, żeby chociaż na moment wpaść tam. Poczułam igielki zazdrości. Postanowiłam jednak nie być gorsza.

- Znasz pewnie ten antykwariat przy Polach Elizejskich? - spytałam niedbale.

- Jasne - wycedził Andrzej - kupiłem tam nie tak dawno fantastyczną komódkę z epoki, dosłownie za grosze.

Wyobraziłam sobie, jak mój kolega wstawia ową komódkę do swego paryskiego mieszkania mieszczącego się w pięknej dzielnicy przy Lasku Bulońskim. Ale wiedząc, że nie zawsze moja wyobraźnia pokrywała się z rzeczywistością, zapytałam dla formalności:

- No i co z tą komódką?

- No wiesz, wyrychtowałem ją trochę i opyliłem pewnemu Amerykaninowi za niezły pieniądz.

Poczułam się jednak rozczarowana.

- Co właściwie robisz w Paryżu? - spytałam już bez specjalnej ciekawości.

Mój kolega zapalił papierosa.

- Kręcę się... to tu, to tam - powiedział enigmatycznie.

Otworzyły się drzwi i drobna kobiecina z włosami w kok wniosła tacę z kawą.

- Franciszka to postawi na biurku - powiedział Andrzej. Sam zajął się nalewaniem. Poczułam jakby czas cofnął się o kilkanaście lat. Wtedy też kobieta imieniem Franciszka podawała nam herbatę i ciastka. Uczyliśmy się matmy. To znaczy Andrzej nas uczył, tłumaczył do znudzenia to, co nie chciało nam wejść do głów.

- Słuchaj - zapytałam - to przecież nie może być ta sama

Franciszka...?

- No coś ty - zaśmiał się - ale u mojej matki każda pomoc musi mieć na imię Frania.

*Lipiec*

Upał. Nawet cienistość lasu wypełniona jest gorącym powietrzem, nawet tam... Suche trawy pokładają się bezwolnie.

\*

- Reniu, wypijesz herbatę? - zapytałam pełna dobrych chęci moją przyjaciółkę zaraz po obchodzie. Miałyśmy akurat chwilę wolnego czasu. Renata spojrzała z obrzydzeniem na puszkę, którą trzymałam w ręce:

- Żadnych używek. Od dziś piję ziółka, od jutra zaczynam się gimnastykować co rano, rzucam poza tym palenie. I w ogóle postanowiłam żyć inaczej - spojrzała na nas wyzywająco.

Ktoś zachichotał. Oczywiście Krzysiek.

- To co, Renia? Od kiedy zaczynasz nowe życie?... Już to parę razy słyszałem.

Miał trochę racji. Co jakiś czas postanowiałyśmy coś zmienić, skierować naszą egzystencję na inne tory, przeczytać parę książek, zaliczyć wystawy, przestać palić i ogólnie zadbać o siebie. Nie tylko dyżury, dom, zakupy. Kończyło się jak zwykle - piłyśmy ambitnie ziółka przez dwa dni. Raz nawet któraś przez tydzień nie paliła... Potem wszystko wracało do normy.

- I po co te wysiłki - kpił nasz kolega - wystarczy drobny stres i rzucacie się na papierosy jak wygłodniałe psy na kość. Nowe życie, też mają zachcianki - kontynuował - a ze starym co zrobicie? O, proszę, już druga historia choroby nie tknięta. Do ciebie mówię, Renata - gderał oburzony - mogłabyś

przynajmniej papiery po sobie w porządku zostawić zanim się w to "nowe" wybierzesz.

Coś tam jeszcze mamrotał pod nosem. Spojrzałyśmy na siebie z koleżanką i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

- No to zrób jeszcze dzisiaj tę herbatę - wykrztusiła wreszcie Renia - ale od jutra...

Spojrzała na mnie groźnie. Mrugnąłam do niej konspiracyjnie.

### *Sierpień*

Poranki niesłychanie świetliste. Zasuвам płócienne storry, barwy schodzą o kilka tonów głębiej, pokoje napęlniają się cieniem. Wychodzę do ogrodu i uderza mnie ogrom koloru połączonego w pozornym nieładzie złotymi nićmi.

Bujne i pogmatwane kwitnienie na klombach. Nawet cień pod największą jabłonią, cały rozedrgany, nie daje ukojenia. Idę dalej, gdzie jest bardziej dziko. Pozostawione samo sobie pleni się zielsko, chwasty i niewybredne perkalikowe kwiatuszki zasiane litościwą ręką wiatru. Wielkie łopiany z włochatymi płatami liści, przypominające mięsiste jęzory, pokrzywy, trawa, aż wreszcie szpalery dzikiego bzu, który wygodnie oparty o parkan patrzy melancholijnie na tę niechlujność.

- Trzeba coś z tym zrobić - mówiło się co roku. Jakoś uporządkować, nadać sens. A potem zwykle było już za późno, żeby zapanować nad spletanym gąszczem, huczącym rojowiskiem much w południowym słońcu.

A jednak wolę to miejsce bardziej niż schludne grzędy z marchewką czy pietruszką, na które patrzę wręcz z pewnym politowaniem. Przypominają mi tak nielubiane w dzieciństwie wprawki na pianinie. Stale powtarzający się motyw mogący doprowadzić do pomieszania zmysłów. Wcho-

dzę w sam środek tego wybujałego chaosu. Z liścia podrywa się rozwścieczona słońcem wielka mucha.

Z trudem przedzieram się przez tę gęstwinę, przesypiającą długie godziny pełne żaru i nudy niejako na marginesie czasu, na obrzeżach dnia. W jaskrawym milczeniu poranka.

\*

- Każda prawdziwa elegancka kobieta powinna posiadać kilka kapeluszy. Jeśli nawet nie nosi ich zbyt często - zakończyła kwestię Maria.

Popadłam w zadumę. Przed oczami wykwitł mi automatycznie mało pociągający obrazek - ja w kapeluszu, w godzinach szczytu, w autobusie, pełnym gospodyń domowych i siatek z zakupami. Wydawało się to cokolwiek groteskowe.

- Powinnaś jednak kilka mieć - upierała się.

Jeszcze tego samego dnia kupiłam istne cudeńko z miękkiego flauszu z pastelową wstążką. Niejasno i mgliście kojarzyło mi się z przyciszonym gwarem rozmowy w eleganckiej kawiarni, z zapachem nieśpiesznie pitej kawy, lekką, przyjemną rozmową... Potem pęd auta, a ja przytrzymuje kapelusz dłonią i śmieje się coraz głośniej. Nie pamiętam nawet, kiedy było mi tak radośnie i przyjemnie. Obok, przy kierownicy, mężczyzna. Ma wspaniały profil. Przez chwilę zachwycam się nim w myślach. On, czując że jest obserwowany, uśmiecha się. Na kolejnym zakręcie kapelusz porwany wiatrem wymyka się z ręki, zupełnie jak żywa istota i pozostaje na drodze - mały pastelowy punkcik.

Budzę się z uczuciem żalu i nawet nie jestem zdziwiona, że to był sen. "A cóż innego mogło by być" - myślę smętnie. Szara od jesiennego światła pościel i obok ten facet - mój mąż. Równie nieciekawy w kolorycie. Zaraz wstanie i zacznie kaszleć. Nic dziwnego, pali tyle papierosów. Patrzą z



obrzydzeniem na popielniczkę pełną niedopalków.

- Jednak kupię sobie ten kapelusz - postanawiam.

\*

"Są dni, kiedy z trudem wstaję z łóżka. Mówię z wysiłkiem. Odmierzam postęp krokami - pierwszy, drugi, dziesiąty - aż do łazienki. Każdy krok to wybitne osiągnięcie. W skupieniu zdejmuję nakrętkę tuby z pastą do zębów, podnoszę szczoteczkę do ust. Czuję, że jestem nic niewarta, że nie ma wartości nic, cokolwiek bym zrobiła, a już najmniej ma dla mnie" - czytam w "Kocim oku" Margaret Atwood. Ogarnia mnie cicha rezygnacja. A jednocześnie pojawia się bunt - przecież to moje słowa i moje myśli! Więc po co pisać, po co przeżywać cokolwiek, skoro wszystko już zostało przede mną napisane... Może lepiej i mądrzej.

\*

Ostatni raz widziałam Piękną Baśkę kiedy została już zupełnie sama. Siedzimy w nagle opustoszałym i cichym mieszkaniu. Na ścianie wisi duży portret Andrzeja - największej miłości jej życia i największego jednocześnie przekleństwa.

- Jaki to piękny mężczyzna - mówię jakoś tak bezwiednie. Barbara wędruje za moim wzrokiem:

- Tak - mówi.

Patrzę na nią i zastanawiam się, jak mało dotknął ją czas, mimo wszystko. Nawet zmarszczki nie zdołały zatrzeć wielkiej urody.

- Wiesz - mówię - nadal jesteś Piękną Baśką.

Uśmiecha się. I już widzę jak jej oczy nie patrzą na mnie, ale gdzieś daleko poza ściany pokoju...

Do Powstania poszła prosto z prywatki imieninowej koleżanki, w sukience w kwiaty, prawie tanecznym krokiem. Zresztą wielu jej rówieśników podążyło równie radośnie na ten swój jedyny taniec ze śmiercią. Owiani entuzjazmem, w podniosłym nastroju, w przeczuciu czegoś wielkiego. Po paru dniach sukienka podarła się i pokryła plamami krwi. Trzeba było ją wymienić na znalezione w piwnicy ubranie. Za duża koszula, za szerokie spodnie... Włosy zlepione kurzem nadal urzekały bursztynowym odcieniem. "Hurra! Piękna Baśka do nas przyszła" - wołali chłopcy, kiedy wchodziła na skleconą naprędce salę opatrunkową. Potem była akcja na Kruczej, kanały, smrodliwe ciemności, jęki rannych i to nieludzkie zmęczenie kiedy wydawało się, że więcej już znieść nie można. Ale okazywało się, że jednak daje się, kiedy trzeba, przewyciężyć bezwład udręczonego ciała, strach dławiący gardło. Zaraz potem piło się wino i nawet można było się uśmiechać.

- Byliśmy wtedy tacy silni i tak bardzo głodni życia - mówi Basia. - Wszystko chcieliśmy przeżyć zaraz, natychmiast, niczego nie odkładać.

Wtedy właśnie poznała Andrzeja, zaraz po śmierci ich dowódcy, który został zasztyletowany w dziwnych okolicznościach, w opustoszałym domu na tyłach barykady. Baśka bardzo przeżyła tamtą sprawę. Łukasz był najodważniejszym człowiekiem jakiego знаła. Byłoby bardziej naturalne, żeby zginął w walce, ale tak... Głupio i niepotrzebnie. Z tym się nie umiała pogodzić. Robiła mechanicznie wszystko, co do niej należało, ale czuła, że popada w jakieś dziwne odrętwienie. "Obudź się śpiąca królowo, do cholery" - wołał gniewnie doktor Zajkowski, kiedy nagle zastygła w bezruchu, patrząc martwym wzrokiem w ścianę. Andrzej - oczekiwany od kilku dni - zjawił się z zapasem najpotrzebniejszych leków. I wtedy patrząc na niego pomyślała, że nie

widziała w życiu piękniejszego mężczyzny. Ich zapatrzenie w siebie nie uszło uwagi pozostałych.

Powstanie upadało, cały świat, zdawało się, walił w gruzy, ale Baśka przeżywała najpiękniejsze dni swego życia. Już nigdy potem nie była tak szczęśliwa. Chodziła przepelniona tą swoją obłąkaną radością, czasami tylko mając poczucie winy... Wczoraj umarł Zbyszek, a dwa dni temu Danuskę rozerwał granat. To wszystko działo się jednak obok, poza nią, odgłosy kataklizmu docierały do niej jak zza grubej przesłony, a jedyny strach, jaki odczuwała, to był lęk o Andrzeja.

- Wiesz - mówi do mnie nagle zapalając kolejnego papierosa - jednak mimo wszystko wtedy było dużo prościej...

Minęły lata. Baśka skończyła stomatologię, Andrzej specjalizował się w ginekologii i położnictwie. Zamieszkali w niewielkim mieście uzdrowskim i tam przyszła na świat Alina, Alunia, Lunia... Później jednak okazało się, że to imię pasuje do niej nienadzwyczajnie, ponieważ Lunia była dzieckiem głęboko upośledzonym. Niemniej rosła zdrowo, z roku na rok stając się jednak coraz bardziej odrażająca fizycznie. Oboje z Andrzejem nie potrafili się z tym pogodzić, ale nie umieli też rozmawiać ze sobą na ten temat. Baśka czuła jak oddalają się od siebie, aż w końcu jej piękny mąż zaczął patrzeć na nią z równą odrazą jak na Lunię. Unikał wspólnych obiadów, zaczął brać więcej dyżurów, w końcu dowiedziała się, że ma kochankę. To nie wstrząsnęło nią aż tak bardzo, bo gdzieś tam wewnątrz siebie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Tylko czasami nie mogła się nadziwić, gdzie straciła tamtego wspaniałego, odważnego człowieka.

Lunia była dużym, grubym dzieckiem, stosunkowo spokojnym i mogła siedzieć godzinami na podłodze bawiąc się zabawkami i śliniąc się przy tym obficie. Baśka patrzyła na nią jak na coś, co przekraczało granice jej pojmowania.

Chociaż przyłapywała się na tym, że jest do dziecka na swój sposób przywiązana. Było przecież częścią Andrzeja i jej, ich wielkiej i pięknej miłości...

Znowu przywoływała na myśl tamte dni, dogasające ruiny kamienicy, pojedyncze strzały, jakieś krzyki i jego oczy, pełne zachwytu. Pałace, szybkie pocałunki, przyśpieszony oddech... Basiu, najdroższa, jedyna...

Oczy Pięknej Basi napelniają się łzami. Zapala papierosa.

- Przestań - mówię - było, minęło.

- Nie potrafiłam pokochać nikogo innego, okaleczył mnie do końca życia - patrzy na mnie, potem ociera łzy kciukiem.

- Kiedy umarła Lunia, myślałam, że może zbliżymy się do siebie, ale on już był z tamtą kobietą. Wtedy musiałam wyjechać, żeby na to nie patrzeć. Czułam się tak, jakbym już umarła... Jednak żyłam i musiałam coś z tym życiem zrobić. Tylko nie wiedziałam jak. I co gorsza nie wiem do tej pory. Potrafiłam jedynie żyć wspomnieniami...

## *Wrzesień*

Człowiek, z którego zdaniem bardzo się liczę, powiedział mi, ot tak, po prostu, że należy rozdzielić rzeczy ważne od spraw nieistotnych. Zdumiała mnie łatwość z jaką rozprawił się z tym wszystkim, z czym ja nie mogę dać sobie rady. Czasami, kiedy zdawać by się mogło, że jestem już bliska dopasowania wszystkich elementów układanki, Boże wystarczy pyłek, drobina jakaś, w postaci czyjegoś spojrzenia, złego słowa, żeby tryby maszyny zaczęły zgrzytać. Powtarzam sobie, posłuszna naukom Iwony, pozytywne afirmacje. Zapewniam samą siebie, że jestem bezpieczna w swoim świecie, silna i mądra. Ale nawet przebiegający pies wydaje się patrzeć na mnie z nieklamana ironią. Głupio mi i przykro...

Lilianna była dzieckiem niezwykłym, zupełnie tak, jak jej imię, niezbyt popularne w owych czasach, zwłaszcza w małym, kresowym miasteczku. Już w wieku kilku lat zwracała uwagę swoją niezwykłą urodą. Ludzie zatrzymywali się na jej widok, kiedy szłyśmy wszystkie razem po ulubione bajgielki do Sary, właścicielki sklepiku w bocznej ulicy przy łaźni.

- Aj, cóż to za śliczna dziewczynka do mnie przyszła - roztkliwiała się gruba Żydówka, wpychając Lilce dodatkowe łakocie.

- Ta mała kiedyś złamie wiele serc - szeptały pokojówki od pani Ochrymowiczowej, stojąc na chodniku z koszami pełnymi zakupów.

Tylko stary Abram, który dzierżawił kawałek sadu od dziadka, przynosząc jesienią duży kosz pełen szarej renety nie mówił nic. Patrzył na Liliannę dokazującą z psem na gazonie przed frontem domu i kiwał głową, ni to z troską, ni to z ubolewaniem.

- Co tak Abram kiwa głową? - pytała ostro ciotka Jadwiga, widząc tę scenę. Do nas zaś zawołała:

- Zabierzcie Lilkę do kuchni na podwieczorek.

Ona też miała słabość do najmłodszej siostry, jak wszyscy zresztą, bojąc się w jakiś niemądry sposób, że ktoś może rzucić na nią zły urok.

- Paniuńcia się nie boi - powiedział nagle cicho Abram, jak gdyby zgadując jej myśli - nie zauroczę małej. Ot, myślę sobie, takie śliczne dziecko, a czasy idą ciężkie i dla nas i dla niej, to i głową z tej żalości kiwam.

- No dobrze już, dobrze - uspokojona Jadwinia kiwnęła ręką. - Niech tam Abram zajdzie do kuchni, Maryna przygotowała paczkę dla rodziny.

W kilka lat później cała rodzina znalazła się na Ziemiach Odzyskanych. Borykała się z różnymi problemami, nie tylko materialnymi. Rzeczywistość, która wszystkich boleśnie dotykała, zdawała się jednak omijać Liliannę. Jej oczy patrzyły daleko poza ogród, a nawet poza miasteczko. Wybiegała wzrokiem aż tam, gdzie linia horyzontu przechodziła w niejasną różową smugę, która zostawała jeszcze kilka godzin po zachodzie słońca.

Mijały lata. Lilka wyrosła na piękną kobietę, która urodą przypominała Gretę Garbo. Nie układało jej się w życiu. Krążyła po nim niespokojnie, wszystko to, co jej się przytrafiło uznając za przypadkowe i nieważne. Takimi były zapewne jej dwa małżeństwa ze skądinąd przyzwoitymi mężczyznami. Zostawiła ich bez żalu, a może przez nieuwagę. Jej oczy były coraz bardziej smutne i patrzyły coraz dalej... Siostry w końcu rozumiały, że nie należy jej pouczać, prawić morałów i ustawiać na właściwym miejscu. Była niespokojnym duchem, zawsze czegoś szukała, czegoś jej brakowało. A już na pewno nie mogła się zadowolić czymś, co one zaaprobowały i uznawały za normalne życie. Może wtedy jeszcze w przededniu wojny stary Abram właśnie owo "coś" dostrzegł w małej Lilce i nad tym "czymś" kiwał z ubolewaniem głową. Może...

Ciotka Jadwinia już dawno machnęła ręką na - jak to nazywała - fanaberie siostrzenicy. Czasem tylko biadolili, że Lilka mogła wyjść za aptekarza, mogła ułożyć sobie życie... Ale robiła to rzadko, gdyż życie nie szczydziło jej innych kłopotów.

Lilka dobiegała czterdziestki i była piękniejsza niż kiedykolwiek. Wtedy właśnie odezwał się ten dawno zapomniany wuj, o którym słuch zaginął po wywiezieniu na Syberię. Mieszkał teraz w Chicago i zapragnął przyjechać na miesiąc do kraju. Zjawił się pół roku później w jaskrawej, prądkowa-

nej marynarce, z aparatem słuchowym za uchem. Padli sobie z dziadkiem w ramiona, ale zaraz następnego dnia byli już poważnie skłóceni. Tak, że Jadwinia zaciskała zgrozkiem usta. Lilka milczała. Głęboko zamyślona patrzyła przez okno. Po miesiącu, już jako jego żona, wyjechała do Stanów.

- Tego się można było po niej spodziewać - sarkała ciotka. - Za ciasno jej tu było, za ubogo, chłopów za mało. Sama nie wiedziała, czego chce.

- A dajże spokój - mitygował żonę dziadek. - Młoda, to ciska ją po świecie.

- Ciebie też ciskało - zaperzyła się Jadwinia wspominając swoje krzywdy. - Też w domu nie usiedziałeś, wszystko było na mojej głowie.

Potem kłócili się jeszcze długo w nocy. Najstarsza, Urszula, słysząc to przez cienkie ściany sieni, pozazdrościła Lilce.

Długo nie nadchodziły od niej żadne wieści. Dopiero ładnych kilka lat później, kiedy już byłam podrastającą panienką, przysłała list i zdjęcie, na którym była ona i jej mąż - najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam. Michael - bo tak miał na imię - był majorem lotnictwa i prawdziwym Indianinem. Nawet teraz, po latach, kiedy oglądam tę fotografię, nic a nic nie uleciało z tamtego czaru, który na mnie rzucił, nawet o tym nie wiedząc. Jest tak samo piękny i męski. Trwałam w zauroczeniu przez wiele lat mojego panieńskiego dorostania. Dzięki tej miłości pochłonięłam całą historię Indian amerykańskich. Znałam na pamięć imiona wszystkich ważniejszych wodzów.

Moja ciotka Lilka pisywała coraz częściej. Czekałam na te listy z niecierpliwością.

- Mamo, mogę? - pytałam błagalnie Matkę.

- Nie wiem, co cię tak interesuje, ot, same troski i kłopoty, jak wszędzie - mówiła.

Chwytałam list i zaczynałam czytać od początku. Ciotka była już teraz starszą panią, ale jeszcze piękną i zadbaną. Mieszkała z mężem w małym domu w Arizonie, gdzieś niedaleko rezerwatu. Michael nie domagał po przejściu w stan spoczynku, a może to były tylko chimery, zastanawiała się rozwlekłe ciocia Lilka. W następnym liście przysłała zdjęcie domu - dużego i przysadzistego, całego w kwiatach. I jeszcze jedno, na którym była w gronie licznych indiańskich wnucząt. Michaela na nim nie było. Może nie lubił pozować do zdjęć, a może w tym czasie nie było go w domu?... Rozmyślałam nad tym długo w nocy.

Znow minął jakiś czas. Zdałam na studia. Dni spadały na łeb na szyję poszatowane wykładami, ćwiczeniami... Patrzyłam z góry na moich rówieśników, nosząc ciągle w sercu obraz Michaela. Był nawet taki moment, kiedy moje marzenie mogło się spełnić. Ciotka bowiem zaczęła napomykać w listach, że Urszula, czyli moja Matka, mogłaby przysłać mnie na jakiś czas. "Niech dziewczyna zobaczy trochę świata, a i mnie może będzie weselej, bo mój mąż jest ostatnio zupełnie okropny" - zakończyła niespodziewanie szczerze.

Wygrzebałam z rodzinnych pamiątek jeszcze raz tamto zdjęcie. Nie. Zupełnie nie mogłam sobie wyobrazić, że ten piękny mężczyzna mógł być taki, jak go opisywała Lilka. Spojrzałam do lustra - byłam do niej podobna, tylko znacznie młodsza. Czy on mógłby mnie pokochać? Nocami śniłam, że on i ja uciekamy przez jakąś pustynię, a za nami pędzi ciotka Lilka i wygraża nam pięścią. Uczyłam się gorączkowo angielskiego. Na próżno jednak czekałam na zaproszenie, czy jakikolwiek znak zza oceanu.

Po dwóch latach przyszedł krótki list, że Michael nie żyje. Zmarł na cukrzycę. Przed śmiercią amputowano mu obie nogi. Długo jeszcze ciotka rozpisywała się o szczegółach jego śmierci i okazałego pogrzebu, a także niesprawiedliwe-



go testamentu. Nie słuchałam już tego do końca. Tylko Matka, kiwając głową z ubolewaniem, powiedziała składając list:

- No cóż, miotła się po świecie, a szczęścia nie znalazła. Lepiej już być nieszczęśliwym na własnych śmieciach niż na obczyźnie. A swoją drogą, dobrze, że tam nie pojechałaś - zakończyła, zwracając się do mnie.

Angielskiego przestałam się uczyć z dnia na dzień. Nie miałam powodów ani chęci. I już nie czekałam na listy od ciotki. Chociaż ona, jakby na przekór, pisze coraz częściej.

Ale to już nie jest ta sama Lilianna za którą oglądały się pokojówki pani Ochrymowiczowej, ani ta, nad którą kiwał głową stary Abram. Stara, zgryźliwa pani, nikomu niepotrzebna, żyje gdzieś na skraju rezerwatu, w wielkim przysadzistym domu, z którego, jak pisze, chce ją wyrzucić ta "chmara indiańskich diabłów".

### *Październik*

Tępy dyżur. Nie powinnam mieć dużo pracy. Teraz, kiedy mogę spokojnie położyć się do łóżka, nie nasłuchując nerwowo kroków na korytarzu - sen nie przychodzi. Zastanawiam się czy nie zażyć jakiegoś leku nasennego. Jutro będę miała ciężki dzień... Z zakamarków myśli wynurza się zdanie, które kiedyś przeczytałam: "Nie po to dano ci bezsenność, abyś uciekał w chemię odrętwienia".

Wiatr rzuca garściami liści o szybę... Coś mi to przypomina. Wspomnienie jest jednak nazbyt mgliste, szamoce się zbyt daleko i beładnie. Próbuję przez chwilę podążać za nim, usiłuję wypchnąć je na powierzchnię świadomości, ale próżne wysiłki. Zatrzymało się, zanurzyło z powrotem w niepamięci.

Sen nie przychodzi. Kręcę się w przesiąkniętej zapachem

szpitala pościeli. Pokój lekarski, nieprzytulny za dnia, teraz, nasączony światłem ulicznych latarni, traci swoją kanciastą brzydotę i promieniuje przyjaznym półmrokiem.

Szuranie kapci na korytarzu - to pacjent spod czwórki. Cierpi na nerwoból. Mówi, że chodzenie trochę mu pomaga. Zastanawiam się, czy siostra nie zapomniała dać mu coś przeciwbólowego. Lepiej to sprawdzić. Wychodząc potykam się tradycyjnie o krzesło. Nie, nie zapomniała. Wracam do siebie. Znowu to krzesło. Ulica lśni zmyta deszczem. Nagie gałęzie drzew uczepione skołtunione go chmurami nieba.

\*

- Zdumiewa mnie i przeraża, ile w życiu zależy od okoliczności, czyli od tego wszystkiego, na co nie mamy wpływu. Jeżeli przeważają okoliczności sprzyjające, stajesz się mądra, silna, a nawet ładna. W przeciwnym przypadku - jesteś drobna, wystraszona, nieszczęśliwa, brakuje ci pewności siebie. Wtedy robisz najgorsze głupstwa, a na drodze stają ci nieudani faceci. Jednym słowem są to momenty, kiedy możesz spaprać sobie raz na zawsze życie - Jadźka skończyła mówić i zapatrzyła się z wyrazem niechęci na twarzy we własną rękę, na której połyskiwała obrączka.

Trąciłam Ewkę łokciem.

- Chyba nie ma na myśli Pawełka, swego męża - szepnęłam jej na ucho. Obie znałyśmy i ceniłyśmy jej małżonka, który, chociaż nieco rozwlekły i nudnawy, był jednak okazem człowieka poczciwego.

- Ale w domu byś takiego nie chciała - śmiała się moja koleżanka.

- No, nie - przyznawałam jej rację.

Tymczasem Jadzia otrząsnęła się z rozmyślań:

- Mądrość życiowa polega na szukaniu okoliczności sprzyjających i wykorzystywaniu ich. Niestety, niewielu to potrafi.

- Jadźka, daj spokój, co ty, doktorat piszesz? - zdenerwowała się Ewka. - Nic, tylko okoliczności takie czy owakie. A to jest bardziej proste. Albo masz szczęście, albo go nie masz. Wbrew wszystkim twoim okolicznościom. Porozmawiajmy lepiej normalnie, o ciuchach, o tym nowym facecie Marty, czy coś w tym stylu - zaproponowała, nalewając sobie kieliszek wina.

- No cóż - zaczęłam pierwsza, jako poniekąd najlepiej poinformowana - otóż ten facet już jest nieaktualny. Owszem, był niezły, ochraniarz, czy ktoś taki - góra mięśni i czasem mówił nawet do rzeczy, ale umoczył się w jakimś niepewnym interesie i wyjechał do Włoch czekając, żeby sprawa przyszła. Marta jest załamana i właściwie należałoby ją odwiedzić - zakończyłam relację.

- A to pech - zaczęła Ewa - a wydawało się, że okoliczności ma sprzyjające - zerknęła ukosem na Jadzię.

Ta machnęła ręką:

- Nie wysilaj się.

Zapadła cisza, każda z nas wróciła myślami do własnych spraw. Spojrzałam na zegarek.

- No, dziewczyny, na mnie już czas - powiedziałam z udanym przestraczem w głosie - strasznie się zasiedziałam.

Prawdą jednak było to, że nie bardzo wiedziałyśmy co począć, żeby przepchnąć to leniwe, niedzielne popołudnie. Zabijałyśmy czas paplaniną o niczym, popijanym winem.

- Nawet tego nie umiecie - powiedziała z obrzydzeniem Ewa. - Mając tych kilka godzin wolnego, nie potraficie posiedzieć i po prostu pogadać jak normalne baby. Wiem, o czym myślisz - powiedziała patrząc groźnie w moim kierunku - masz to wypisane na twarzy, o tym pacjencie z trójki.

Miała rację. Aż mnie skręcało, żeby pójść do domu i jeszcze raz przeczytać artykuł, opisujący przypadek podobny do tego, który od kilku dni spędzał mi sen z powiek.

- Ty natomiast - Ewa wzrokiem inkwizytora spojrzała na Jadwigę - myślisz o tym poparzonym dziecku.

- Przepraszam was, nie sądziłam, że to aż tak się rzuca w oczy - powiedziała zagadnięta - wybaczcie, ale muszę zadzwonić na oddział.

Po czym w pośpiechu wybiegła do przedpokoju.

- No widzisz - rzuciła z niesmakiem nasza koleżanka - nie jesteście normalne. Poznałam kiedyś przystojnego ortopeda i wyobraź sobie, że na pierwszej randce, zaraz po powitalnych grzecznościach, zapytał czy może skorzystać z telefonu. Potem jeszcze trzy razy do niego doskakiwał, zamieniał jakieś dyżury, coś tam ustalał z pielęgniarką. Gdzieś tak po godzinie wpatrywania się w moje nogi zapytał znienacka, czy nie miałam złamanego podudzia, wyobrażasz sobie? - Ewka uniosła brwi. - Potem złapał mnie za nogę, ale zapewniam cię, że bynajmniej nie w celach erotycznych - w głosie koleżanki słychać było najwyższe oburzenie.

Jakoś nie chciało mi się wierzyć. Moi koledzy z ortopedii chętnie mówili o swoich podbojach, więc coś musiało być nie tak.

- Albo mu nie wpadłaś w oko - powiedziałam nielitościwie - albo był świeżo przed specjalizacją - dodałam, aby załagodzić sprawę.

Ewka wzruszyła z wyższością ramionami.

- Pierwsza kwestia nie wchodzi w rachubę - powiedziała wyniośle.

W duchu przyznałam jej rację - była rzeczywiście atrakcyjną dziewczyną. Tyle, że nie z branży i czasami trudno było nam się porozumieć. Ale lubiłam ją i chętnie do niej wpadałam. Ot tak, żeby właśnie pogadać o bzdurach i zwyczajnie

przestać myśleć o tym, co zostawiłam na oddziale. Będąc z zawodu kosmetyczką miała cały czas kontakt z ludźmi, ale nie tymi zbolalymi, zawsze musiałam wysłuchiwać ploteczek. Czasami, myśląc o swoich sprawach, puszczałam tę całą gadaninę mimo uszu... ale faktem było, że Ewka ze swoją energią i witalnością działała na nas ożywczo, chociaż czasami bywała irytująca, tak jak dzisiaj.

W końcu z przedpokoju wynurzyła się Jadzia. Minę miała zadowoloną, więc i nam poprawiły się humory.

- Okoliczności są sprzyjające - zaczęła, a my wybuchnęłyśmy śmiechem.

- A ja ci powiem - zaczęła Ewka - że jak Marta od urodzenia nie ma szczęścia do facetów, to żeby nie wiem jak były sprzyjające, to założę się, ten następny będzie też niewypałem.

- Coś w tym jest - przytaknęłam.

Jadzia wzruszyła ramionami.

- Zobaczcie lepiej jaki szalowy ciuch kupiłam - Ewa z zapalem rzuciła się do szafy.

- Ta to ma zdrowie - powiedziałam półgłosem do koleżanki.

- No jasne, nie to co my. My jesteście nienormalne - rzuciła równie cicho.

- Ale tylko czasami - zza czerwonej sukni wynurzyła się twarz Ewki - ogólnie jesteście w porządku.

### *Październik*

Jesień szaleje. Ale ta niedobra, z deszczem i wiatrem strącającym jeszcze niezupełnie pożółkłe liście, których przecież szkoda. Czytam "Dzienniki" Zofii Nałkowskiej i zastanawia mnie, skąd ona brała siły na coraz to nowe zauroczenia mężczyznami i to nie byle jakimi w końcu, cierpiąc przy tym na rozliczne dolegliwości, brak pieniędzy, kłopoty wydawnicze... Zdziwiająca kobieta!

\*

Byłam na oddziale onkologii. Odwiedzałam Danusię. Najpierw jednak wpadłam do koleżanki, która tam pracuje. Jest jak zwykle zrównoważona i spokojna. Już chyba uodporniona na ten oddział tętniący nieszczęściem. Zastanawiam się na jaki rodzaj nowotworu choruje ta prześliczna dziewczyna siedząca na korytarzu pod oknem. Koleżanka podąża za moim wzrokiem. - Ziarnica - mówi nie pytana.

Danusia jest blada, ale dobrej myśli. Pogodna do bólu. Spokojnie mówi o kalectwie, które ją czeka. Po godzinie wychodzę i dopiero na dole, przy szatni, pozwalam sobie na łzy. Szatniarka przygląda mi się w milczeniu. Idę na długi spacer po mieście.

### *Listopad*

Od rana problemy - wszystkie prawie palniki popsute, nie ma denaturatu, lampki, którymi badamy pacjentów, też ledwie dyszą. Dyrekcja nie ma pieniędzy. Pacjenci denerwują się. Po pracy idę do centrum i wydaję resztkę pieniędzy na piękny szal. Ale szczęśliwa jestem tylko przez małą chwilkę.

\*

Ewka otworzyła z niechęcią oczy i poruszyła się w łóżku. Wiedziała, że zaraz musi wstać i ta konieczność spowodowała, iż poczuła się jeszcze gorzej. "Nawet pochorować mi nie dadzą" - pomyślała z goryczą. Już w wyobraźni widziała domowników. Rodzice byli starzy, ale przecież ona też nie była najmłodsza i miała prawo czuć się źle. Tego jednak nikt, jak widać, nie brał pod uwagę.

Sobota była dniem wolnym od pracy, ale tylko iluzorycz-

nie. Dla niej oznaczało to zwiększone obowiązki - gotowanie, pranie, sprzątanie. Należało się w dodatku szybko uwić, żeby zdążyć przed obiadem, na który zjawi się reszta rodzeństwa.

Tym razem były to na pewno korzonki - ból promieniował wzdłuż kręgosłupa do lewej nogi. Pojękując pokuśtykała jednak do kuchni i wstawiła wodę na kawę, potem zaczęła przeszukiwać pudełko z lekami, stojące w kredensie, w poszukiwaniu jakiejś przeciwbólowej tabletki. Z sąsiedniego pokoju słyhać było postękiwanie matki, która już pewnie obudziła się i usiłuje poruszyć w łóżku. Od lat chorowała na gościec i w ostatnich latach poruszanie się sprawiało jej coraz większe trudności. Jedynie Buras, pies o nieokreślonej maści, wykazywał ożywienie i wnosił trochę życia w ten poranek. Ewka rozpogodziła się patrząc na jego ufną mordę. Kręcił się nerwowo koło stołu oczekując na śniadanie. Trzeba przyznać, że nie był wybredny i zadowalał się byle czym. Poglądziła go po skołtunionej na grzbiecie sierści.

Ewa udawała sama przed sobą, że jest zadowolona z życia, jakie sobie wybrała. Zwłaszcza przed sobą. Inni nie interesowali ją zbyt. Dziwiło ją zawsze, że była przedmiotem licznych plotek i domysłów, zupełnie jak gdyby wszyscy jej znajomi nie mieli nic innego do roboty. W końcu prowadziła nudną egzystencję, dzieląc pracę w redakcji miejscowej gazety z licznymi obowiązkami przy chorej matce. Nie udzielała się towarzysko i z rzadka tylko pojawiała się na imprezach, na których nie wypadało nie być.

To prawda, że jej życie nie zawsze tak wyglądało. Wróżono jej nawet kiedyś karierę, a znajome matki, spotykając się na herbatce w niedzielne popołudnie, słuowały z nabożeństwem o tym, jaką Ewunia miała kreację na wielkim balu, czy też wernisażu znanej plastyczki. Matka podsuwała im pod nos kolejny reportaż, który właśnie ukazał się na ła-

mach stołecznej prasy. Potem był debiutancki tomik, który rozszedł się błyskawicznie. Ktoś ze wspólnych znajomych widział Ewę to z tym, to z tamtym, ale nigdy nic konkretnego nie można było powiedzieć. Budziło to ciekawość, zwłaszcza, że sama bohaterka podczas wizyt w rodzinnym mieście oferowała zainteresowanym tylko miły uśmiech i milczenie.

Któregoś dnia wróciła i podjęła pracę w redakcji miejscowej gazecie. Nikt nigdy nie mógł dociec przyczyny. Ona sama zastanawiała się, co spowodowało, że tu wróciła, odrzuciła wszystko, co nie było jej małym, nudnym światkiem. "Pewnie do niczego więcej się nie nadaje" - dumiała patrząc w lustro. Stracone złudzenia, rozwiane nadzieje, jakie to banalne, przecież nic takiego się nie zdarzyło. Więc jak to się stało, że tak bez żalu odeszła? Że nawet postarzała się bez żalu... Patrzyła na swoją zbyt już szczupłą twarz, poszarzałe włosy. Kilka siwych nitok wiło się nad czołem. Pomyślała, że trzeba pomalować, ale machnęła ręką, może kiedy indziej. Tylko zęby zostały takie same - lśniące białe, bez skazy kiedy się uśmiechała. Ale to było rzadkie.

Koleżanki szeptały po kątach o przeżytych zawodzie miłosnym, znaleziono nawet hipotetycznego bohatera. Miał nim być naczelny znanej gazety. "Czego ci ludzie nie wymyślą" - wzruszyła ramionami Ewka. Ten facet był szczęśliwie żonaty, a gdyby nawet... Zupełnie nie był w jej typie. Nie było żadnego mężczyzny w tym wszystkim, ale o tym wiedziała tylko ona. Zresztą nikt inny by nie uwierzył. Była atrakcyjną dziewczyną, no, może nie tą krzykliwą, pstrokatą, rzucającą się w oczy urodą. W Ewie dominowała wyciszona elegancja i jakieś spojrzenie - umykające i odcinające rozmówcę kratą powiek. Miała ładną twarz, ale taką, która zatrzymywała wzrok raczej kobiet i to tych, które posiadają wyrobiony smak i dobry gust.



Od jakiegoś czasu, od kilku lat właściwie, zaczęło Ewę ogarniać uczucie beznadziejności. Porażające i wszechwładne. Niby robiła to, co do niej należało, ale jakoś inaczej. Napędzana raczej siłą bezwładności i koniecznością następujących po sobie nieuchronnie wydarzeń, które popychały ją do wykonywania tych czy innych obowiązków. Coraz częściej przyłapywała się na tym, że siedzi bezmyślnie, otoczona kokonem ciszy, w którym było jej najlepiej. Zmuszała się do pracy, wizyt towarzyskich, licząc że zabije w sobie to drażące uczucie, które narastało...

Trudno zresztą byłoby nazwać to coś uczuciem - raczej pustką, wyjałowieniem, pustynią, czymkolwiek, ale nie uczuciem. "Zmęczenie i lekka histeria" - powiedział znajomy konował usiłując jednocześnie wysondować, jakie ma u niej szanse, ale zbyła go odmownie. Chyba poczuł się dotknięty. "Bezczelny typ" - myślała z niechęcią jadąc autobusem do domu. Ale nawet o tym nie mogła zbyt długo myśleć, tak była osłabiona i apatyczna. Patrzyła na biegnących po ulicach ludzi, na chichoczące podlotki, na sterane życiem kobiety i ogarniało ją obrzydzenie do wszystkiego. A potem poczuła nagle piekące łzy.

- Zwariowałam - powiedziała półgłosem - na pewno zwa-  
riowałam.

Najchętniej milczała. Jej popołudnia zalegały wielkie obszary milczenia. Patrzyła na znajome meble, ale nie mogła na niczym utrzymać dłużej wzroku. Redakcja napawała ją przerażeniem. Brzęcząca jak wielki ul. Słowa, które mijały się i przelatowały jak piłeczki pingpongowe, gdzieś w powietrzu nadymały się i puchły, czasem nawet nie dolatywały do adresata.

"Po co tyle słów" - myślała ze złością Ewa usiłując skupić się nad kartką papieru.

## Grudzień

Spadł wreszcie śnieg i zapachniało dalekimi jeszcze świętami. Późnym wieczorem mam się spotkać z Marią, ale teraz pędzę ulicami miasta mając tysiąc spraw do załatwienia - swoich i nieswoich. "Skąd ich się tyle zawsze nabiera" - zastanawiam się bez większego przekonania. Chyba tak już musi być. Na chwilę wpadam do Poradni Internistycznej, gdzie moja koleżanka walczy z tłumem pacjentów, zamieniam z nią parę słów, ze swego gabinetu wychyla się przełożona pielęgniarek i uśmiecha się do mnie, zapraszając na herbatę. Jest mi miło, ale odmawiam. Muszę iść dalej. Kiedyś właśnie ta przełożona zapytała mnie, jak ja to robię, że Czas nie pozostawia na mnie widocznych śladów... I zaraz sobie sama odpowiedziała: Pani zawsze w takim pędzie, czas nie potrafi Pani dogonić i pociąć twarzy na tysiące zmarszczek. Pocięte. Ale przecież kiedyś mnie dopadnie i dopiero wtedy wystawi mi rachunek.

## Styczeń

Nieustanne zimno, które wciska się przez wszystkie możliwe szpary. Kostnieją ręce, całe ciało, a nawet myśli. Palenie w wielkim kuchennym piecu, przyjemne o ile nie jest walką z oporną materią węgla, sterty popiołu... Skądinąd dziwi mnie, że ten przyjazny, kiedyś pomrukujący łagodnie i parujący ciepłem sprzęt wykazuje tyle złej woli. Płomień gaśnie co chwila, drewno nie chce się zająć, co parę minut wybucha żółtym, gryzącym i złym dymem. Zimno. Skostniałe myśli, postukując jak kawałki lodu, przesuwają się niechętnie w mojej głowie, obrażone na cały świat. Zapalam papierosa i spoglądam na zaśnieżone pole, które oddziela mnie od rzeczywistości. Przychodzi mi do głowy, że pełne spalin ulice miasta są przecież cieplejsze i bardziej przytul-

Dopiero w okolicach południa arterie ogrzewania napełniają się ciepłem, które jednak nie jest w stanie ogrzać całego organizmu. Zaledwie troszkę się ożywiają, żeby za kilka godzin znowu popaść w zimną, mroczną czeluść snu.

Lubiłam ten moment, kiedy wreszcie rozgrzana, pod kołdrą, bez tych nieustannych dreszczy, zapadałam w stan na pograniczu jawy i snu. Dom szarpany wiatrem wydawał się chwiać i kołysać łagodnie jak wielka kołyska czy też łódź, która miała mnie przetrzymać w swoich objęciach i bezpiecznie holować aż do brzegu następnego dnia. Podpływały do mnie wspomnienia osób, słów. Nawet te niedobre wydawały się złagodzone ciemnością, mniej odpychające.

\*

- Więc to tylko tyle - myślała Janina otulając się szczelnieją kołdrą. Miała na myśli swoje życie. Chciała zostać sama. Lekarz rejonowy, który był właśnie u niej z wizytą domową, pakował słuchawki zbierając się do wyjścia.

- Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze - powiedział już przy drzwiach.

Oboje spojrzeli na siebie ukrywając zakłopotanie, było przecież wiadomo, że nic nie będzie dobrze. Do korytarza odprowadziła go sąsiadka. Za chwilę wróciła do pokoju.

- Coś ci podać, Jańciu? - zapytała poprawiając pościel. Przysiadła na chwilę, ale nerwowo zerknęła na zegarek. Za chwilę dzieciśka wrócą ze szkoły, a obiad jeszcze nie przygotowany.

- Nic, nic, Helenko - Janina machnęła ręką i odwróciła głowę do ściany. Zastryk zaczynał powoli działać, zapadała w przyjemne odrętwienie, a świat zewnętrzny oddalał się tworząc zaledwie tło dla jej własnych przemyśleń. Najważniejsze, że razem zabrał ból, który odpłynął gdzieś w stronę

okna i dalej...

Wzrok Janiny oparł się o wyblakłą tapetę przy łóżku. Jej stonowane przez słońce kolory działały kojąco. Przesunęła oczy labiryntem ledwo uchwytnego już wzoru w górę i trochę w bok i utkwiała wzrok w małej różyczce.

Znowu naszała ją wątpliwość, a właściwie pytanie - czy życie to tylko tyle? Bo jeśli tak, to ona Janina cieszy się, że umiera, że to wszystko raz wreszcie się skończy. Myślała o tym spokojnie, ponieważ osiągnęła już ten stopień wtajemniczenia, kiedy się nie rozpacza, nie płacze i nie czepia rozpaczliwie nadziei. Uśmiechnęła się gorzko do wzoru na tapecie - ile trzeba było strachu, bólu, szpitalnych łóżek, żeby wreszcie dojść do spokojnej przystani wyblakłych różyczek.

- Więc życie to tylko tyle - myślała leniwie. I jedno, czego żałowała, to tego, że kiedyś nie kupiła sobie tamtej sukienki na cienkich ramiączkach - takiej pięknej i takiej pożądanej. Kto wie, może w tamtej sukni zmieniłaby swoje przeznaczenie?

- Zresztą, z takim czy innym życiem za sobą i tak trzeba umierać - tłumaczyła się nie wiadomo przed kim. I uczepiona tej myśli, z lżejszym sercem zapadała w sen.

*Luty*

Śnieg padał całą noc. Drzewa umęczone jego ciężarem, utrudzone, pewnie nie zdają sobie sprawy ze swego piękna. Brnę w zaspach, mrużąc oczy od słońca. Jednak za dużo tego, za ciężko. Postanawiam wracać, kiedy wiatr rzuca mi w twarz garść płatków prawie mnie oślepiając. Jakby na przekór przypominam sobie tamto południe przed Luwrem, kiedy wydawać by się mogło, że już nie istnieje nic oprócz ogromu zmęczenia, a wszystkie myśli utopione w

upale nie są w stanie zająć się czymkolwiek.

Ale jednak... Chłodny błękit "Tancerek" Degasa, a później cały przepych impresjonistów rozpałił mnie na nowo żarem, ale nie tym powierzchownym, topiącym tylko ciało. Oszołomiona patrzyłam spojrzeniem, które jest nie tylko wysłannikiem oczu, ale z którego dna wychylają się wszystkie zmysły na początku skamieniałe i przestraszone ogromem piękna, pełne żądz - żeby dotknąć, ogarnąć. I... przepełnia mnie uczucie niedosytu. Tak było za każdym razem. Jak wielokrotnie powtarzana melodia, którą słucha się jeszcze i jeszcze raz, żeby zgłębić jej tajemnicę. Bez skutku.

Otwieram oczy, które uderzone słonecznym blaskiem, w obronnym akcie natychmiast się zamykają. Przez chwilę mam wrażenie, że śnieg promieniuje ciepłem, ale wiem, że to jeszcze tamten upał paryskiego sierpnia.

Wracam do domu. Tylko pies okazuje niezadowolenie. Na nosie ma wielką grudę białego puchu, roześmiane oczy i szelmowski wyraz pyska. Pewnie dziwi go, że tak powoli przedzieram się przez zaspę. Niecierpliwie trąca moją rękę - chodźże prędzej, tyle jeszcze ciekawych rzeczy do obwąchania...

\*

Jerzy okazał się inny, niż to sobie na początku wyobrażała. I nawet nie była tym zaskoczona. Przyzwyczaiła się już, że ludzie okazywali się zupełnie różni od tego, co sobie o nich roiła. Widziała go przedtem tylko kilka razy w telewizji, kiedy akurat zrobiło się gorąco wokół kolejnej afery i do końca nie było wiadomo, kto ze znanych osobistości jest w nią zamieszany. Sprawie, jak zwykle w takich wypadkach, ukręcono łeb. Jerzy złożył wtedy dymisję. Jego wypowiedzi były jasne, klarowne. Wydał się jej wtedy mężczyzną o

zdecydowanym i stanowczym sposobie bycia. Nie bez znaczenia była jego uroda. Przypominał Joannie zmęczonego bohatera westernów. Właśnie tak - zmęczonego i zrezygnowanego. Zupełnie zafascynowana gapiała się w jego twarz na ekranie. Podłużne bruzdy na policzkach, lekko przerzedzone włosy na czubku głowy i głęboki, męski głos. "Przy nim czyłabym się spokojna i bezpieczna" - pomyślała i już zazdrościła kobiecie, która była jego żoną czy kochanką. Zdawała sobie oczywiście sprawę z infantylności tego zachwytu. W końcu widziała go tylko w tej jednej, konkretnej sytuacji. Podziwiała niejako wyrwanego z kontekstu. Ale też nie chciała i nie mogła zastanawiać się nad tym, jaki był naprawdę - po części dlatego, że było to przecież niemożliwe, a poza tym zawsze tak robiła. Życie nauczyła ją, że nie należy zbyt głęboko wnikać w istotę spraw, gdyż często pod lśniąca, lustrzana powierzchnią rozciągały się całe połacie błota. Wystarczyło jej, że sprawiał przyjemność swoim wyglądem i tym, co mówi. Można było przecież w długie wieczory dopisać sobie jakąś fabułę, nie istniejące rozmowy, wymyślane sytuacje. Tak było dużo lepiej...

Ale jednak stało się inaczej. Jerzy został zaproszony przez jakieś ugrupowanie polityczne do jej rodzinnego miasta. Joanna poszła na to spotkanie prawie z obowiązku, ponieważ miała napisać o tym kilka słów do miejscowej gazety. Usiadła w trzecim rzędzie. Okazało się z bliska, że jej bohater ma twarz bardziej pobrużdżoną zmarszczkami, niż to było widać na szklanym ekranie. Ale nie ujmowało mu to urody i nie to ją przykro uderzyło. W rozmowie z przeciwnikami był twardy aż do brutalności i nie liczył się z tym, że ktoś może mieć odmienne zdanie.

"Co za straszny facet - pomyślała Joanna i jej drobnymi ramionami wstrząsnął dreszcz. - Wyobrażam sobie, jak taki traktuje kobiety."

Ale mimo wszystko na przyjęcie poszła. Ze zwykłej, babskiej ciekawości. Na progu powitała ją rozgorączkowana Ewka, gospodyni domu.

- Dobrze, że jesteś, towarzystwo jakieś dętwe - szeptała nerwowo. Po czym energicznie popchnęła Joasię w stronę pokoju, skąd dochodził przytłumiony gwar.

Joanna większość osób знаła. Pozostawał tylko on - nieprzyjemny, apodyktyczny mężczyzna, którego już nie miała ochoty poznać. Ale kiedy pochylił się nad jej ręką, poczuła coś w rodzaju iskry, która przeszła ją od stóp do czubka głowy.

"No proszę, a już wydawało się, że takie uczucie zdarza się tylko w sentymentalnych powieściach" - pomyślała ironicznie.

Jerzy patrzył na nią chłodnym, szarym wzrokiem.

- Pani siedziała w trzecim rzędzie - stwierdził.

Przytaknęła zaskoczona.

- Jak wypadło spotkanie? - zapytał bez specjalnego zainteresowania.

- Jest pan nie znoszącym sprzeciwu, brutalnym typem - powiedziała Joanna i uśmiechnęła się uroczo. Teraz dopiero ujrzała cień ożywienia w jego oczach. - Przepraszam - powiedziała i poszła szukać Ewy. W kuchni przyjaciółka poczęstowała ją alkoholem.

- No, jaki on jest? Tak długo rozmawialiście - skreślała się z ciekawości.

Joasia przytoczyła jej całą rozmowę.

- No wiesz, ty jednak jesteś nienormalna - Ewka wzruszyła ramionami i wyszła obrażona, zabierając tacę z kanapkami.

Joanna postanowiła zniknąć po angielsku i była już w przedpokoju, kiedy poczuła na ramieniu zdecydowany, a nawet bolesny ucisk.

- Jesteś wyjątkowo arogancka jak na taką ładną kobietę, a

teraz jeszcze chcesz zniknąć bez pożegnania - Jerzy był wyraźnie zły. - Czy w tym mieście wszystkie kobiety są tak źle wychowane? - dorzucił.

- Nie, co druga - odparła Joanna.

- A ta pierwsza? - zapytał już z lekkim uśmiechem.

- Ta pierwsza to słodka idiotka z długimi blond włosami, przylepna i dobrze ułożona.

- To jednak wolę tę drugą - znowu uśmiech.

Potem nagle znalazła się w jego ramionach, a on całował ją nie pytając o zdanie. Joanna nie broniła się. "To są skutki picia alkoholu na przyjęciach - myślała. - Całujesz się z nieznanym typem i jeszcze sprawia ci to niejaką przyjemność".

Okres, który później nastąpił należał do najgorszych w jej życiu. Jerzy dzwonił rzadko, przyjeżdżał sporadycznie, a ona musiała wtedy wszystkie swoje plany życiowe podporządkowywać jemu. Rezygnowała z wielu spraw, tłumiąc odruchy buntu. Czekala późno w noc z kolacją odgrzewaną siedem razy, gasząc kolejnego papierosa i wypijając kolejny kieliszek wina. A kiedy mijała północ i jego jeszcze nie było, przyrzekała sobie po raz nie wiadomo który, że to już na pewno ostatni raz...

Nazajutrz dzwonił, że zebranie się przeciągnęło, że później nie miał już połączenia. Tym swoim głębokim męskim głosem mówił, jak bardzo tęskni. Zdawała sobie sprawę z własnej głupoty i braku siły woli, ale miękła jednak. W nocy popłakując w poduszkę wiedziała, że wszystko i tak zacznie się od początku.

### *Marzec*

Słońce grzeje wyjątkowo. Przypominam sobie tamten upalny październik w Białowieży z Teresą. Chodziłyśmy po



parku, pod nogami liście eksplodowały żółto-brązowo. Teresa była właśnie zakochana i gorączkowo mi o tym opowiadała. Miałyśmy niewiele czasu dla siebie - tylko to jedno popołudnie. Piękne i ciepłe. Powinnam być zadowolona i byłam, ale jakoś tak nie do końca. Wiedziałam, a może przeczuwałam tylko, że takie spotkanie już się nie powtórzy i to uczucie uwierało mnie jak niewygodny pantofel. Dokuczliwie i nieprzyjemnie. W miesiąc później dowiedziałam się, że Teresa jest chora na raka.

\*

Wracam myślą do ostatniego telefonu Maryli. Najwyraźniej czegoś ode mnie oczekiwała, jakiejś bliżej nieokreślonej pomocy czy duchowego wsparcia. Mówiła jednak niejasno i mgliście, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby wyłapać wszelkie niuanse. Nie umówiliśmy się na żaden określony termin, obiecując pozostać w kontakcie. Szczerze mówiąc byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy - moja koleżanka Maryla uwikłała się bowiem w nader paskudną sytuację, a ja, znając wszystkie osoby dramatu i pozostając z nimi w kontaktach towarzyskich, czułabym się niezręcznie stając po czyjejkolwiek stronie. Wolałam zachować neutralność, zważywszy że były to problemy, z którymi od początku świata trudno sobie poradzić.

Swoją drogą nie spodziewałam się, że moja przyjaciółka znajdzie się w takiej matni. Zawsze imponował mi jej rozsądek i realistyczne podejście do tzw. spraw bez wyjścia. Znakomicie sobie radziła, a jej pogoda ducha i umiejętność nieutrudniania sobie życia wyprowadzały ją zawsze z kłopotliwych sytuacji. Nieraz korzystałam z jej rad, ale częściej ograniczałam się do słuchania jej wywodów na różne tematy, po drodze znajdując rozwiązania dla swoich problemów.

Spokojnym głosem przypominała mi prawdy oczywiste, o których ja, w amoku aktualnych sercowych powikłań zapomniałam, gmatwając z właściwą sobie umiejętnością sprawy i tak nieproste.

Maryla postępowała z mężczyznami rzec by można "po męsku". Okresowo zdradzała swego męża cicho i dyskretnie, często jej kolejni kochankowie bywali u niej w domu, pijąc zgodnie kawę z małżonkiem, człowiekiem łagodnym, który nade wszystko cenił sobie święty spokój. Porzucała ich też spokojnie, bez łez babskich rozterek i wielkich słów. Pamiętam, jak przed laty, będąc w znanym kurorcie, rozkochała w sobie jakiegoś młodego człowieka, po czym spędziwszy z nim kilka miłych i niezapomnianych wieczorów, spokojnie wróciła do domu. Ten zaś, nie mogąc zapomnieć, pisywał co drugi dzień listy które, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, przychodziły na mój adres. Maryla odpisała na dwa, znudziła się i dała spokój. Niestety, młody człowiek wziął sobie to wszystko zbyt do serca. Na plaży, gdzie ponoć widzieli się po raz ostatni, usiłował popełnić samobójstwo, zażywając większą ilość środków nasennych. O tym fakcie doniósł Maryli jego wuj - anestezjolog, który skutecznie ratował bratanka na oddziale reanimacji. List oczywiście był niezbyt przyjemny w tonie i pełen właściwie nieuzasadnionych pretensji - jak to skwitowała moja przyjaciółka, zamykając całą sprawę. Patrzyłam na nią z niejakim podziwem - ani ładna, ani zgrabna. Ale w końcu nie byłam mężczyzną, żeby tę sprawę rozstrzygnąć na pewno i do końca.

### *Kwiecień*

Powinnam być szczęśliwa, że są jeszcze takie soboty jak ta właśnie. Słońce zalewa dosłownie moje poddasze. Na

dole, w kuchni, kończy się piec ciasto, a jego zapach snuje się po schodach aż na górę. A jeszcze kilka dni temu było tak niedobrze - atmosfera gęsta od nie wyjaśnionych spraw i zatargów. Gryzła w oczy jak dym ze źle funkcjonującego pieca. Przez otwarte okno wpada wiatr i porusza firanką. Znow mam ochotę malować. W koszyku leży kłęb kolorowych nici, na stole niedokończone opowiadanie. Znow mam ochotę na wszystko. Na początek robię kawę...

### *Maj*

Wczoraj nareszcie nie zmarnowałam dnia. Ten obraz, a właściwie wizja obrazu, która gnieździła się w mojej głowie od dawna, została uwięziona na płótnie. Do tej pory nie miałam odwagi go zacząć... Pole pełne kwitnącego mleczu - daleko, jak okiem sięgnąć, aż po ledwo widoczną ścianę lasu. I po raz pierwszy chyba jestem zadowolona z tego, co zrobiłam. Daje mi poczucie pełnego oddechu i powiew nieograniczonej niczym przestrzeni.

\*

Za lasem zaczynał się świat obcych ludzi, pełen zakurzonych ulic, brudnych klatek schodowych i duszącego smrodu spalin. Tam powoli odchodziliśmy, ale zanim to się stało, opuściła nas niania. Zamieszkała razem z siostrą w małym, przygarbionym domku w bocznej ulicy i była już niczym więcej jak starą, pomarszczoną kobietą. Zdumiewała mnie jej przemiana - znikły czarne włosy, skurczyła się i zmaląła. Niczym nie przypominała tamtej niani z wieczornego misterium w kuchni. Kiedy ją odwiedzałam, pytała zawsze o las, a ja odpowiadałam nieodmiennie, że jest taki jak zawsze. I nigdy nie wspominałam o naszej zdradzie. Bo już właściwie wtedy zaczęło się nasze odchodzenie, chociaż z począt-

ku niezauważalne. Świat za lasem miał hojną rękę - podsuwał swoje skarby z kuszącym uśmiechem złego czarno-sięźnika. Otwieraliśmy szeroko oczy i czerpaliśmy pełnymi garściami.

\*

Krystyna miała starość dobrą i niedokuczliwą. Trudno było powiedzieć, żeby nic jej nie dolegało, ale przecież nie można wymagać zbyt wiele od losu. Zachowała ładną sylwetkę, twarz, no i włosy, choć odarte już z naturalnego połysku i koloru. O zęby dbała zawsze, co teraz procentowało. Powinna być zadowolona. Ale jednak nie. Codziennie przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, zastanawiając się, jak los mógł jej spleść takiego ohydneho figla. To, że starzały się jej koleżanki, obrastając w gromady dzieci i wnuków, że przecierały się ongiś bujne fryzury jej amantów, to było w porządku, zgodne z naturą.

- A ty myślałaś, że już dożywotnio zostaniesz piękną Kryską - śmiała się Basia, której nieopatrznie powiedziała o swoich niepokojach. - Popatrz na mnie - o tu i tu - kontynuowała koleżanka pokazując nadmierne nagromadzenie tkanki tłuszczowej na biodrach i udach.

- Okropność - pomyślała Krystyna.

- Jak ma się męża i dzieci, kochana, to już nie zwracasz uwagi na takie drobiazgi. Ja wiem. Powiesz, że są kobiety, które mają męża i dobry wygląd, ale to rzadkość. Spójrz na nasze koleżanki. Zalatane, zapracowane. Albo przed, albo po dyżurze. Jak któraś ma dobrą figurę, to znowu twarz w przedwczesnych zmarszczkach - Basia zniechęcona machnęła ręką. - Ja też nie wychodzę ze szpitala przez tę budowę. Marek ciągnie jak może, bierze chałtury, ale w końcu wszyscy tak żyją. Tobie to dobrze, żadnych problemów, nawet

męża nie masz - zakończyła Basia już lekko złośliwie.

- Męża mam, jak wiesz - przerwała jej Krystyna.

- A co tam taki mąż, wiecznie poza krajem - przyjaciółka wzruszyła ramionami.

- Prawnie jesteśmy nadal małżeństwem - powiedziała wolno Krystyna, nie tyle do swojej rozmówczyni, co do siebie.

Przypomniała sobie nagle tamto szaleńcze zauroczenie, opaloną twarz Andrzeja i jakiś powiew egzotyki, który towarzyszył jego osobie. W tamte wakacje, przed laty, zrobił furorę w mieście. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nie robił tego na siłę. Równie zajmująco potrafił opowiadać o swoich przygodach na Samoa, jak o odpuście na Jana w rodzinnym miasteczku. Jak mogła być tak naiwna sądząc, że go zatrzyma na dłużej przy sobie? Zresztą chyba od początku wiedziała, że to niemożliwe. A jednak wpakowała się w tę historię z naiwnością nastolatki, którą przecież wtedy nie była w żadnym wypadku. Wyjazd, który jej proponował, też przecież nie wchodził w rachubę - miała tu mieszkanie, pracę i chorą matkę. Nie mogła tego zostawić i wyjechać z nieznanym jej w końcu człowiekiem, czego on z kolei nie mógł zupełnie pojąć. Andrzej żył z godziny na godzinę. Nie miał oszczędności, nosiło go z miejsca na miejsce. Trochę fotografował, pisywał artykuły do czasopism i właściwie trudno było powiedzieć, czym się zajmował naprawdę.

Poznała go na przyjęciu u znajomych, na które poszła bez specjalnej przyjemności. Ot, żeby zabić nudę popołudnia i uciec na chwilę od utyskiwań matki. Nawet nie zadbała o toaletę, była na to zbyt zmęczona. Dwa ostatnie dyżury były wyjątkowo trudne. Zburzyła włosy nad czołem i rzucając ostatnie spojrzenie do lustra pomyślała zdziwiona, że nie najgorzej wygląda. Po wstępnych powitaniach z gospody-

nią od razu prawie wpadła na Andrzeja, owego "zwariowanego kuzyna", przed którym ją żartobliwie ostrzegano. Wychodził właśnie z kuchni niosąc talerze...

Potem rozpętało się ich szaleństwo. Randki, pocałunki - zupełnie jak gdyby świat miał się skończyć już jutro. Wreszcie pośpieszny ślub. A wszystko to jakieś nierealne, owiane zapachem kwiatów (akurat rozszalała się wiosna). Andrzej wprowadzał atmosferę zamieszania, ustawicznie gonił czas i jakieś terminy, a ona poddawała się temu w łagodnym otumanieniu osoby ubezwłasnowolnionej.

A przecież oboje nie mieli po osiemnaście lat. To ich zauroczenie sobą, widoczne od pierwszej chwili, przez długie miesiące stanowiło smakowity żer dla miejscowych plotkarzy. Wszyscy jednak zgodnie przyznawali, że stanowili zachwycającą parę: ona - drobna i elegancka, on - wysoki, barczysty; opalony...

Krystyna otrząsnęła się z rozmyślań.

- No cóż, było, minęło.

Jej przyjaciółka Basia przegarnęła włosy dłonią, mówiąc już po raz trzeci, że musi pójść do fryzjera; w końcu nerwowo spoglądając na zegar zabrała się do wyjścia. Krystyna odprowadziła ją do drzwi, po czym usiadła na fotelu podnosząc do ust filiżankę z kawą. Na jej dnie zobaczyła wyraźnie twarz Andrzeja, usłyszała jego głos...

- Widocznie mam dziś wieczór wspomnień - uśmiechnęła się do siebie.

## *Maj*

Tyle razy obiecywałam sobie, że w tym roku już na pewno nie przegapię tego momentu rozkwitania kwiatów, poranków wynurzających się z rosy i pobrzmiwających daleką

zapowiedzią upału. Tych eksplozji zieleni, niesłychanej w swojej świeżości i nasyceniu barwą. Nigdy później już taka nie będzie... Lipcowe zmęczenie upałem spowoduje zakradanie się brunatnego odcienia, przywodzącego na myśl tylko znużenie i wyczerpanie.

Tak sobie obiecywałam... Niestety, jak zwykle nie dotrzymałam słowa. Tyle było zamieszania z wydaniem książki i przygotowaniem wieczoru autorskiego. Tyle jest jeszcze tej bieganiny... Mijam obojętnie zakwitający bez. Duszący, słodki zapach goni mnie zaczepnie jeszcze przez kilka metrów. Kręcę przecząco głową - nie dzisiaj. Nie mam czasu. Mijam ogłupiałe od nagłych upałów fasady domów, wdycham spaliny i obiecuję sobie, że za rok nie zmarnuję ani jednego majowego poranka, nie przegapię ani jaśminów, ani czeremchy... No i zakocham się. Wreszcie powinnam. Przypominają się gdzieś przeczytane słowa: niczego nie odkładaj na później. Cóż, ten maj jest stracony. Nie zdażyłam.

W parku z gęstwiny dobiega mnie śpiew jakiegoś ptaka. Zatrzymuje mnie na jedną króciutką chwilę - przecież muszę pędzić dalej.

\*

Anna, w samym środku ogrodu z wiadrem na chwasty i grabiami, zamyśliła się nagle. Nie rozważała jakiejś konkretnej sprawy. Ot, pozwalała swobodnie bujać myślom. Początek jednak stanowił widok jej własnych paznokci wynurzających się spod porwanej, starej bawełnianej rękawiczki, której używała do pielenia. Skrzywiła się z niesmakiem - znowu będzie musiała zrobić pranie, żeby jutro jakoś wyglądały. A tak chciała odpocząć, złowić jeszcze kilka jesiennych, ciepłych chwil. Posiedzieć nad książką w altanie. Z rezygnacją odgarnęła włosy z czoła. Tyle tu było jeszcze do

zrobienia. Usiadła na wygrzanej ziemi i zapaliła papierosa. Wypuszczając pierwsze kółko dymu spojrzała na widniejący w głębi dom, częściowo tylko przysłonięty gałęziami drzew i aż się zdziwiła. Chyba po raz pierwszy nie czuła żadnych emocji. Kto by pomyślał, że wszystko tak się skończy, chociaż właściwie dlaczego nie? To przecież tylko życie, nie film, nie książka...

Marcin opuścił ją w sposób najbanalniejszy z banalnych - z jej własną sekretarką. Przywołała w pamięci obraz tamtej - lalkowata, ładna blondynka z długimi nogami. "Boże, jakie to stereotypowe i nudne" - myślała. Przecież o wszystko mogłaby Marcina podejrzewać, tylko nie o to, nie o taki kicz. Ich miłość dawno przygasła, jak zresztą w większości małżeństw z długim stażem, ale sądziła, że zdoła utrzymać nie przyjaźni, która ich zawsze łączyła. Dawała z siebie tak wiele, tuszowała przed sobą i przed innymi potknięcia męża, słabości, których nie zniosłaby u innych.

Poczucie niezwykłości, które kiedyś, dawno temu, przeżywała przez kilka miesięcy, a które towarzyszyło jej, kiedy była w pobliżu Marcina, znikło już wiele lat temu. Jak przez mgłę pamiętała ten stan lekkości, kiedy biegła na spotkanie, to wrażenie, że oto przydarzyło jej się coś wielkiego, coś prawie na miarę epokowego wydarzenia.

Anna uśmiechnęła się pobłażliwie do własnej głupoty. Ale chyba większość dziewcząt tak przeżywała swoje miłości, czuła się więc usprawiedliwiona.

Po ślubie zamieszkali w jej maleńkim panińskim mieszkaniu. Anna bardzo szybko przestała mieć ten natchniony wyraz oczu, który tak u siebie lubiła, podkreślał bowiem jej urodę.

Były to ostatnie ciepłe wrześnieowe dni. Podbite jednak, jak płaszcz futrem, skradającym się chłodem, który utajony w zakamarkach ogrodu czekał, żeby z nastaniem popołud-



nia wypełznąć i oplatać je swoimi mackami. Kwiaty z po-  
żółkłymi od spodu łodygami broniły resztek urody, ale z ich  
płatków wyzierała już rezygnacja i zmęczenie. Coraz smut-  
niej robiło się w ogrodzie.

Anna szła ścieżką odgarniając opadłe liście jabłoni. Doszła do końca ogrodu i zajrzała do skrzynki na listy. Była pusta. Nie zdziwiło jej to, ponieważ tak naprawdę nie oczekiwała korespondencji. Zawróciła. "Dlaczego on mi to zrobił?" - zaczęła zastanawiać się po raz prawie setny. Jak jej się samej wydawało, robiła to już raczej z nawyku niż z potrzeby. I pewnie dlatego, że aktualnie nie miała się czym zająć oprócz tego ogrodu. Naturalnie czuła się poniżona i skrzywdzona, nawet teraz, kiedy już jako tako doszła do siebie. Gdyby jeszcze opuścił ją dla kobiety zupełnie wyjątkowej, mogłaby mu darować. Ale tego, że jej Marcin, człowiek nad którym pracowała tyle lat, okazał się tylko taki... Nie, ten brak stylu był niewybaczalny.

- To typowe - kpiła z niej Ewka - znudził się twoją inteligencją, zapragnął ciała nieskażonego umysłem.

W końcu udało się jej wywołać uśmiech na ustach Anny. Zawsze się jej udawało. Umiała kpić w odpowiednich momentach i wielki dramat nagle zmieniał się w banalną, kiczowatą historię. A z tą łatwiej sobie można było poradzić.

Były przyjaciółkami od wielu lat i później, kiedy Anna wyszła za mąż, nadal utrzymywały kontakty. Z tym, że Ewa nie lubiła Marcina.

- Zobaczysz - mówiła - ten egzemplarz dowartościowuje się przy tobie. A jak skończy, poszuka sobie takiej, wobec której zademonstruje cały swój wachlarz umiejętności. Oczywiście nabytych twoim kosztem. Będzie cytował książki, do przeczytania których namówiłaś go, popisze się znajomością win i oczaruje bez specjalnego wysiłku jakąś paniemkę.

Anna zaciąga się papierosem. Brała, oczywiście, pod uwagę taką możliwość, zwłaszcza, że Marcin był od niej o kilka lat młodszy. Ale w cichości ducha liczyła na niego, na tę świeżość uczuć i spojrzenia na pewne sprawy, to oderwanie od realiów, pogardę dla wszelkich dóbr materialnych (co później okazało się trochę przesadzone).

Teraz widziała go zupełnie inaczej, zwyczajniej. Sama się zadziwiła, jak mogła nie dostrzegać w nim tych wszystkich ułomności, którymi zarzucił ją w późniejszych latach. Zresztą i to miało pewien urok... Zaraz, zaraz, jak to właściwie było...

Usiłowała przywołać w pamięci tego Marcina sprzed lat, który był tak inny niż znani jej mężczyźni - trochę samotny i zagubiony, znikający gdzieś w samym środku przyjęcia, z sobą tylko zrozumiałych przyczyn. Marcina włóczącego się godzinami po lasach z aparatem fotograficznym (nigdy nie zapraszał jej na te wycieczki, o co była zazdrosna). Później, dużo później zrozumiała, że to odosobnienie było przykrywką licznych kompleksów i trudnego charakteru, zdjęcia natomiast, które powstawały z tych jego wędrówek, były słabe, marne, bez pasji. Ale nic mu nie mówiła. Z czasem zaczęło ją to nawet rozczulać. Patrzyła na jego poczynania z pobłażliwym uśmiechem matki, która obserwuje nieudolne wysiłki dziecka. Mierne dla innych, ale dla niej zachwycające.

- Jakaż byłam głupia - mówi do siebie Anna wyrывая ze złością chwasty - jaka głupia.

Ale wtedy tak nie myślała, chociaż właściwie już przeczuwała, jakie było prawdziwe oblicze Marcina. Jeszcze niejasno, ale nieustępliwie rysowało się ono w jej świadomości. Tyle że wtedy, w jakiś dziwny i niezrozumiały sposób, to jej nie przeszkadzało. A może mylnie interpretowała pewne fakty, jak ten na przykład, że Marcin zupełnie nie zwracał

uwagi na inne kobiety. Myślała, że jest tak w nią zapatrzony, a on był zapatrzony tylko w siebie.

- Chyba go jednak kochałam przez te wszystkie lata - uśmiecha się smętnie.

\*

Oglądałam występy artystki, która do pomocy zaprosiła muzykującą rodzinę gazdów - dwie choże, nieskażone makijażem dziewczyny, którym uroku dodawały błyszczące, czerwone policzki, i kilku mężczyzn, szczerzących w uśmiechu olśniewająco białe zęby. Patrząc na nich rozumiałam zachwyty przesubtelniejszego intelektualisty, jakim był niewątpliwie Karol Szymanowski. Ci młodzi wyglądali jak uosobienia zdrowia, tężyzny i zwierzęcego uroku, któremu nie sposób było się oprzeć. Przebywanie w ich towarzystwie sprawiło zapewne choremu Karolowi wieloraką przyjemność.

Znałam kiedyś takiego mężczyznę. Pięknego, olśniewającego męską urodą. Niestety, był on uwikłany w jakieś niesłychane, nikomu niepotrzebne i niezrozumiałe filozofie, które czyniły go początkowo nudnym, a potem śmiesznym. W efekcie zatracala się jego świeżość młodego zwierzęcia, czyniąc przedwcześnie zgnuśniałym dziwolągiem.

\*

Nagle, gdzieś w środku dnia "łapał" mnie ból głowy. Zaczynało się niewielkim ukłuciem w okolicy czoła, potem rozlewał się szeroką falą do tyłu, narastając z minuty na minutę. W panice łykałam proszki przeciwbólowe jeden za drugim. Efekt był taki, że po kilku godzinach bolał mnie także żołądek. Koleżanki ze zgrozą patrzyły na mój sposób

leczenia, choć nie były lepsze ode mnie pod tym względem. Wiedzioną zdrowym rozsądkiem, wiedziałam, że powinnam zrobić jakieś badania, ale kiedy dolegliwości ustępowały... Znajoma neurolog pocieszyła mnie, że to migrena. I tak już zostało. Wieczny brak czasu...

Najgorzej było, kiedy ból nadchodził w trakcie dyżuru. Zwykle tak bywa, że po 17-tej, kiedy zostają zamknięte poradnie specjalistyczne, w izbie przyjęć jest największy tłok, ponieważ schodzą się pacjenci z całego miasta. Głównie ci, którzy nie zdążyli być przyjęci w poradni. Czasami jest to zupełnie nieuzasadnione, a lekarz dyżurny traci mnóstwo czasu na zajmowanie się ludźmi, mogącymi poczekać do następnego dnia, zamiast poświęcić go innym chorym.

- To ja może zacznę od samego początku - mówi zażywny jegomość sadowiąc się na krześle.

Targana bólem głowy i nudnościami (pewnie jednak migrena) staram się uważnie wsłuchać w opowieść o bólu gardła.

- Nie powiem pani doktor, żeby był cały czas, ale ot, czasem zaboli. Wczoraj na przykład siedzę przed telewizorem i nagle jak nie zaboli! Przeszło potem, ale myślę - co będę czekał...

Zaglądam szpatułką do gardła, żeby ukrócić te zwierzenia, nie znajduję śladu choroby, w krtani też; wypisuję coś do płukania gardła i pytam grzecznie, czy nie mógł z tym poczekać do jutra, przecież można do przychodni... Zażywny jegomość naburmusza się momentalnie:

- A od czego wy tu jesteście, płacę na was. Kawę tylko po kątach pijecie, a do roboty nie ma nikogo...

Tego już nie wytrzymuje moja pielęgniarka (trzydzieści lat w tym samym szpitalu), otwiera drzwi na korytarz, gdzie siedzi jeszcze kilkunastu pacjentów: Widzi pan, ilu jeszcze czeka, doktor bidulka jeszcze nie wstała od biurka, do toale-

ty nie ma czasu pójść, nie mówiąc już o kawie! Kok siostry Zeni przekrzywia się na bok, co świadczy o jej wielkim wzburzeniu. Pacjent bierze receptę z biurka.

- Niech pan zacznie płukać od razu - mówię.

- Po nocy nie będę chodził do apteki - burczy i na odchodne wali drzwiami. Mam wrażenie, że moja głowa rozpadnie się zaraz na tysiąc kawałków.

\*

"Z przemijaniem należy się pogodzić całkowicie, albo wcale. Nie na pół gwizdka, nonszalancko sobie powtarzając, że jakoś tam będzie. Zgoda musi być całkowita i bezwzględna, gdyż inaczej trudno będzie zaakceptować zmiany, które będą zachodziły w nas samych i naszym stosunku do innych". Mirka zakończyła zdanie i przeczytała jeszcze raz cały akapit.

Referat był zwięzły i chyba niezbyt nudny, o ile taki temat może być zajmujący. Poza tym, cokolwiek by się nie wymyśliło mądrego o przemijaniu, jest to zawsze bolesny problem, zwłaszcza dla kobiet, żeby nie wiem jak naukowo do tego podchodzić. Takie było zdanie samej autorki. Potrząsnęła burzą świeżo umytych włosów - no cóż, ona jeszcze się tą kwestią nie przejmuje, ale może już niedługo... Zresztą, na szczęście nie ma na to czasu. Miała cichą nadzieję, że goniąc gdzieś i załatwiając sto tysięcy spraw, jakoś się wymiga, zgubi i oszuka tę okropną staruchę - Starość.

Wstała zza biurka i syknęła w nagłym przypiływie bólu - no tak, noga. Zupełnie o niej zapomniała, a nie powinna, bo fakt, że ją skręciła i to w drodze do pracy, był poniekąd darem niebios. Po pierwsze, miała dłuższe zwolnienie i tym samym mogła nadrobić zaległe sprawy, po drugie, liczyła na niewielkie pieniądze z odszkodowania. Na początku nie

miała zamiaru o nie się ubiegać, ponieważ łączyło się to z załatwianiem wielu spraw i chodzeniem po urzędach, ale koleżanka usilnie ją namawiała, no i te długi...

Wczoraj była na komisji lekarskiej. Przystojny lekarz, którego twarz wydawała się jej znajoma, zamiast na jej nogę patrzył cały czas w okolice jej dekoltu i z miłym uśmiechem wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia na temat wypadku.

- Proszę zdjąć pantofel - rzucił jej nagle, posyłając zabójcze spojrzenie. - Czy potrafi pani skrócić stopę na bok? - zapytał nie odrywając wzroku od jej twarzy i dotykając na oślep nogi.

- Potrafię - odburknęła, wściekła, że bardziej go interesuje to wszystko, co się znajduje powyżej tej nieszczęsnej, skręconej kostki. Włożyła zdecydowanie pantofel.

- To wszystko - wyszczebiotał uprzejmie lekarz. Mył właśnie ręce oblewając sobie rękaw, ponieważ nadal nie odrywał od niej wzroku.

- Skąd ja znam tego faceta - to pytanie nie dawało jej spokoju.

## *Lipiec*

Ogromna ilość pacjentów w poradni, aż się wierzyć nie chce, że to wakacje. Rano upał, po południu deszcz i burza. Od jutra idę na urlop.

\*

Wstaję o ósmej rano w chwilę później wpadam w nie kończący się wir prac ogrodowo-domowych. Konfitury, pielienie grządek, przesadzanie kwiatów. Dopiero po obiedzie mam chwilkę, żeby zagłębić się w mojego ukochanego Prousta. On jeden potrafi mnie zmusić do wyciszenia się, do zatrzymania w nieustannym biegu...

Zanurzam się w labiryncie gęstej prozy, jak w chłodnej kąpieli, która łagodzi przyjemnie po upale dnia. I na nowo pełna jestem podziwu dla bogactwa i wnikliwości opisów rzeczy i spraw drobnych, odczuć dawno zapomnianych. Jest mi tak, jak bym znalazła razem z nim smak ulubionej potrawy z dzieciństwa. Odkładam na chwilę książkę i już na własną rękę udaję się na poszukiwanie straconego Czasu. Tym razem mojego...

### *Koniec lipca*

Dopiero teraz wyciszyłam się i rozleniwiłam, szkoda, że dopiero pod koniec urlopu. Potrafię siedzieć godzinami w altanie. Bez tego wewnętrznego przymusu, że trzeba gdzieś pędzić, coś zrobić... Upał. Obserwuję przełamywanie się godzin i przechodzenie - a właściwie przenikanie - jednej w drugą, kiedy granice są jeszcze niejasne, kiedy pierwsza pozostawia w następnej swój własny posmak.

Ósma rano niesie już zapowiedź upału, ale jeszcze cieniistość ogrodu jest jak kawałek świeżego masła, pokrytego kropelkami rosy. Potem mozolnie wlecze się południe - omdlałe z gorąca trawy i kwiaty, przyczajone blisko ziemi... W dalszych, zarośniętych łopianem częściach ogrodu, brzęczą niestrudzone muchy i to jedyny dźwięk jaki słyhać - wszystko bowiem zamiera, nawet rozmowa z Przyjacielem staje się męcząca, słowa ociekają kroplami potu. Leżymy w cieniu przesyleni na wyłot gorącem, obezwładnieni ciałem, które nagle stało się ciężkie i niezdolne do czegokolwiek.

\*

Alina dopiero późnym wieczorem skończyła wypakowywać ciężkie walizy i dwie torby podróżne; nawet nie wiedziała, że tyle tego się nazbierało przez dwa miesiące. Zro-

biła sobie resztką sił herbatę i ciężko usiadła w fotelu. Dopiero teraz opadły ją od dawna tłumione wątpliwości - czy powinna była wracać. Widok znajomych kątów dawno nie remontowanego mieszkania, brzydkie, od dawna niezmienniane meble, w jaskrawy sposób kłóciły się z wypakowanymi przed chwilą eleganckimi ciuchami, noszącymi znamię innego, lepszego świata. Jej spojrzenie padło na flakon perfum stojący na stole - jej ulubione - Chanel Nr 5. Ostatni prezent od Jeana-Marca. Chciał jej kupić inne, znacznie droższe, o wyszukanej nazwie, której nawet nie zapamiętała (szalenie podobno modne w Paryżu właśnie w czasie tych wakacji). Ale ona uparła się przy Chanel. Stały obok jej filizanki z odtłuczonym uszkiem jak wyrzut sumienia. Teraz ujrzała przed oczami twarz Jeana-Marca: śniada cera, czarne kręcone włosy. Był początkującym dyplomata, tak jak wszyscy w jego rodzinie. Przypomniała sobie, jak przed rokiem zagadnął ją na dworcu, a ona w swojej koślawej angielszczyźnie usiłowała mu wytłumaczyć, gdzie jest hotel o który mu chodziło. W końcu odprowadziła go pod same drzwi, a on zaprosił ją na kawę. Sama nigdy nie ośmieliłaby się wejść do tej niezmiernie eleganckiej hotelowej kawiarni, ale Jean-Marc, chociaż był tu po raz pierwszy, czuł się jak u siebie w domu. "No tak, obywatel świata" - pomyślała i natychmiast ogarnął ją żal, że nie włożyła tamtej ładniejszej czerwonej sukienki. Mimo słabej znajomości języka rozmowa toczyła się dosyć wartko i oboje co chwila wybuchali śmiechem. Zwłaszcza on, słysząc jej nieporadnie klecone zdania. Było jej dobrze. Szampan wydatnie poprawił humor. Jej towarzysz przyciągał spojrzenia kobiet, ale nie sprawiało jej to przykrości ponieważ był w jej życiu prawie jak przybysz z kosmosu - równie egzotyczny, co nieosiągalny. To dawało jej poczucie swobody. Nie spodziewała się, że rok później otrzyma to zaproszenie. Bawiła ją zazdrość w



oczach koleżanek...

- To tylko niezobowiązujące wakacje we Francji - mówiła lekko. Zresztą tutaj był Tomek. Jego nie wtajemniczyła w szczegóły, powiedziała tylko, że zaprosili ją dawni znajomi jej matki. Ucieszył się, chociaż myślała, że będzie odwrotnie. No cóż, każdy miał swoje kalkulacje...

Zobaczył ją na peronie, widocznie na kogoś czekała. Długie włosy, wijące się nad czołem i przy policzkach, niedbale związane z tyłu głowy, kwiecista spódnica i biała trykotowa bluzka. Twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i ciemne, lekko skośne oczy przypominały mu plastyczkę Tanię, którą poznał na przyjęciu w ambasadzie rosyjskiej. Była żoną jakiegoś nudnego, wysokiego rangą wojskowego. Zawróciła mu w głowie i zmała spokój na długie miesiące. Nigdy nie podejrzewał, że jakakolwiek kobieta potrafi wywrzeć na nim takie wrażenie. Miała niesamowity temperament, czasami graniczący ze szczyptą szaleństwa. Niekiedy przeważała ta druga cecha i zaczynał się bać... Sam nie wiedział czy o nią, czy o siebie. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego rzuca się na wszystko z taką zachłannością, nawet kosztem niszczenia siebie samej. "Widzisz, mój śliczny Francuziku - mówiła do niego w przypiływie czułości - u nas tak wszyscy, do samego dna, do zatracenia, inaczej nie warto". Wyciągała go na całonocne wędrówki po różnych lokalach. Kiedy spotykali się nazajutrz, Jean-Marc miał głowę ciężką z niewyspania i przekrwione oczy, ale Tania była świeżutka i rześka jak poranek. "Słabiutki jesteś, gołąbku" - mówiła mu czule do ucha. Był ciekaw, co na to jej mąż. Wzruszała ramionami. Na pytanie, czy go kocha, wznosiła do góry czarne brwi: Dzięki niemu jestem w Paryżu. Ludzie się za nią oglądali, kiedy szła ulicą, chociaż pięknych dziewcząt nie brakowało. Nosila kwieciste spódnice i białe bluzki przez cały czas, kiedy się widywali. Nie dlatego, że nie mogła sobie pozwo-

lić na kostium od Chanel. Któregoś dnia znaleziono ją martwą na ławce w Lasku Bulońskim. Sprawę zatuszowano, a Jean-Marc, już na własną rękę dowiedział się, że przyczyną zgonu było przedawkowanie narkotyków. To prawda, długo nie mógł o niej zapomnieć. Próbował z tą czy z inną dziewczyną, ale wszystkie wydawały się mdłe i pozbawione owej pasji przeżywania...

Teraz przyglądał się tej młodej kobiecie i wspomnienia ostatnich miesięcy powróciły z nową siłą.

\*

Każdy ma o sobie jakieś wyobrażenie. Poczynając od wyglądu zewnętrznego. Wychodzi ono jakoś tak "od środka" i zwykle ma mało albo nic wspólnego z tym, jak nas postrzegają inni. Ani też z tym, jak się to ma do rzeczywistości.

Nawiedziło mnie niedawno (skrywane chętnie) odczucie, że przecież ja też nie jestem taka, jak się postrzegam rano w lustrze na własny użytek. Usiłuję złożyć swój w miarę obiektywny wizerunek z fragmentów, urywków i wrażeń. Swoich wyglądków w niedokończonym geście, w półobrocie. W niekontrolowanych zamyśleniach. Przypominam sobie obraz z krótkiego filmiku, który zrobił amatorską kamerą pewien mój kolega. Siedziałyśmy z Marią przy śniadaniu w pustej już prawie jadalni. Przysiadł się na chwilę do naszego stolika. Wywiązała się dyskusja o czymś tam, już nie pamiętam. Dopiero po chwili zauważyłam, że filmuje. Obejrzałyśmy ten materiał później z Marią bez świadków. I tam moja twarz była zupełnie inna.

- Jesteś taka naturalna - zachwycił się młodociany reżyser.

- Ale to przecie nie ja - wykrzyknęłam obejrzawszy "dzieło".

Ktoś podobny do mnie. Te same usta, włosy. A jednak... coś obcego, czego na co dzień u siebie nie widziałam, może nie chciałam widzieć.

### *Lipiec*

Upał niesamowity od samego rana. Usadawiam się z maszyną do pisania, leżakiem, małym stolikiem i psem w kręgu cienia, który z godziny na godzinę przesuwa się. Podążam za nim z całym ekwipunkiem i zwierzakiem. W końcu po południu, przemierzywszy prawie pół ogrodu w ten sposób, ląduję pod ulubioną, starą wiśnią, która od dawna już nie rodzi owoców.

\*

Na początku wcale nie miał na imię Alf. O ile sobie przypomina w ogóle nie miał imienia. Nikt też nie zwracał się do niego osobiście, tylko kilka razy dziennie wysoka postać wnosila do ogrodzenia, gdzie przebywał, miski z jedzeniem i, prawdę mówiąc, była to najprzyjemniejsza pora dnia. Wyciszał się wtedy cały harmider i szczekanie, każdy pilnował, żeby zjeść jak najwięcej. Alf jadł szybko i pilnie zerkał na miskę swojego towarzysza - może coś tam jeszcze zostanie? Czasem zostawało. Potem następowało kilka godzin sytego spokoju, a jeszcze później wszystko zaczynało się od nowa - skomlenie, wycie, pisk, niepotrzebne kłótnie i nawet bójkę. Innego życia nie znał i nie oczekiwał. Miał cichy kącik w rogu wybiegu i tam najchętniej układał się do poobiedniej drzemki. Czasem siadywał z noskiem przy siatce patrząc przed siebie bez określonego celu i popiskiwał cicho - nie żeby było mu wyjątkowo źle - nachodziła go tęsknota za czymś nieokreślonym. Na szczęście takie chwile zdarzały się rzadko.

Ten dzień zaczął się jak inne, ale w powietrzu wyczuwało się jakieś podniecenie. Wkrótce dziedziniec zaroił się od postaci - jedne były większe, drugie mniejsze. Niektóre zbliżały się do wybiegów, a ich głosy były słodkie i wabiące. Zwłaszcza jeden z nich. Zupełnie mały chłopiec przykucnął niedaleko miejsca, gdzie ułożył się Alf i zaczął do niego przemawiać, a później wsadził małą rękę przez pręty siatki i usłował go pogłaskać. Piesek odsunął się niepewnie. Właściwie nie wiedział jak się ma zachować.

- No chodź tutaj, jesteś taki śliczny. Chcesz pójść ze mną do domu? - dzieciak nie dawał za wygraną.

Słowa brzmiały pieszczotliwie i były skierowane tylko do Alfa. Poczul się wyróżniony - po raz pierwszy ktoś mówił tylko do niego... Podszedł powolutku do siatki i nieufnie obwąchał małą rączkę, potem liznął delikatnie - była lepka i słodka, ale smak był przyjemny. Liznął jeszcze raz...

- Mamo, mamó - wołał chłopiec - to jest właśnie Alf. Zabieram go do domu - zakończył zdecydowanie.

Minął jeszcze jakiś czas, klatka otworzyła się i pies wylądował w ramionach dziecka. Były miękkie, ciepłe, pachniały owsianką i mlekiem. Alf westchnął głęboko i nagle zrozumiał, że właśnie było to coś, za czym czasem tęsknił - miał kogoś, kto go przytulał, kto mówił tylko do niego, a teraz nawet drapał go rozkosznie za uchem. Piesek zadarł pyszczek i liznął chłopca.

- Mamo, mamó, zobacz, on mnie pocałował.

Matka uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Będiesz moim przyjacielem, prawda, będziemy się razem bawić, a jutro kupię ci piękną smycz i dostaniesz gumową kość do gryzienia. Będiesz tylko mój, dobrze? - chłopiec skończył i popatrzył wyczekująco w czarne oczka pieska, obserwując go z uwagą. - Mamo - zawołał - on naprawdę wszystko rozumie, wiesz?

Po czym w porywie radości wycisnął mokry pocałunek na czarnym guziku nosa swojego przyjaciela.

- Fe, tak się nie robi - skrzywiła się matka - psy tego nie lubią.

- Alf to uwielbia - powiedział z powagą mały. - Prawda, że to lubisz? - szepnął prosto do małego, wewnątrz różowego jak muszelka uszka.

### *Sierpień*

Dni przesuwają się zmęczone ogromnym upałem, obrzęknięte od gorąca. Kolejne wakacje, których nie spędziłam na Lazurowym Wybrzeżu, ani na Wyspach Karaibskich. Żadnych planów, żadnych rozczarowań. Potrafię minimalizować swoje wymagania, oczywiście nie bez pewnego przymusu.

\*

Magda, dziewczyna, którą znałem tylko z opowiadań, otworzyła mi drzwi mieszkania mojej przyjaciółki Iwony. Na powitanie wyszczerzyła radośnie białe zęby i już po chwili rozmawialiśmy jak stare znajome. Iwona w sąsiednim pokoju trajkotała przez telefon. Magda, a właściwie Mada - bo takie imię nosiła w USA - studentka drugiego roku czegośtam, była boso. Jej garderobę stanowiły workowate, podarte na kolanach spodnie i wypłowiały, ohydny podkoszulek. Ciemne włosy miała zwinięte ciasno z tyłu głowy i zamotane jakąś burą szmatą. Twarz bez makijażu. Zanim Iwona skończyła swoją telefoniczną tyradę, zdążyliśmy oplotkować obie półkule. Zrobiło się późno i właściwie chciałam jechać do domu, ale Iwona dała mi do zrozumienia, że powinnam zostać, co potwierdziła jeszcze boleśnie szczypiąc mnie w ramię. Mada, mimo późnej pory, wybie-

rała się na jakieś spotkanie pod Ratuszem, a potem na dyskotekę. Ubrała się bardziej elegancko, czyli zmieniła spodnie na równie podarte, ale w kolorze niebieskim, do tego włożyła rozciągnięty niebieski golf, na bosc stopy włożyła coś w rodzaju sabotów, z rzemykiem wokół kostki. Co do włosów to pozostawiła je zamotane nadal tą samą szmatą. Wycalowałyśmy się na pożegnanie - miałam już jej nie spotkać.

- Siadaj - powiedziała do mnie groźnie Iwona. - Gdzie ty się tak wiecznie spieszysz?

Nalała mi świeżej herbaty i zapaliła papierosa.

- No, co sądzisz o tej małej? - zapytała.

Trzeba wspomnieć, że Magda to córka serdecznej przyjaciółki Iwony, która mieszka od lat w Stanach. Mała przyjechała tu na miesiąc wakacji.

- Ładna dziewczyna - bąknęłam, nie wiedząc o co jej chodzi.

- Ładna, ładna - wybuchnęła Iwona - zobacz jak ona się ubiera. W takich szmatach wstydziłabym się pokazać na działce u mojej babci, a co dopiero gdzie indziej.

Machnęłam lekceważąco ręką:

- Daj spokój dziewczyno, one wszystkie teraz tak się ubierają.

Mada o swoich wozach do Wiednia i Paryża mówi najwyżej w świecie, jak o czymś normalnym. Spoglądam na swoją przyjaciółkę, rozumiemy się bez słów. Kiedy byłyśmy w jej wieku, wyjazd do czeskiej Pragi był wydarzeniem. Teraz, kiedy paszport leży niedbale wetknięty w szufladę, już nie mamy takiego zapału... Już nam się tak bardzo nie chce.

## *Sierpień*

Dopiero wczoraj przyszło mi do głowy, że ten lipcowy urlop należał chyba do najbardziej udanych. To przecież

nieważne, że spędziłam go prawie samotnie, w spłowiełej od słońca podkoszulce. Byłam taka daleka od spraw tego świata, oddzielona lasem od jakichkolwiek odgłosów miasta. Pewnie gdyby wybuchła trzecia wojna światowa, ja dowiedziałabym się o tym ostatnia.

Nie działo się nic nadzwyczajnego... Zakwitały coraz to nowe kwiaty, a krzaki porzeczek uginały się, ba, nawet upadały pod ciężarem owoców. Pachniało smażonymi konfiturami i coraz to nowe słoiki odnosiło się do piwnicy. Na poddaszu suszyły się z cichym westchnieniem lipa i nagietek. Czas liczyło się według słońca...

\*

Nerwy napięte do ostatnich granic. Przy byle drobnej sprawie odzywają się wręcz fizyczne bóle złamanej kończyny, czy zerwanego ścięgna. Nie potrafię załatwić najprostszej sprawy bez drżenia rąk. Serce bije jak oszalałe w najmniej odpowiednich momentach.

\*

Kolejny dzień - jak zapowiada prognoza - suchego, afrykańskiego upału. Serce mnie boli, kiedy patrzę na pożółkły ogród, wyschniętą trawę. Wiele kwiatów zginęło przedwcześnie. Miałam tyle spraw do przemyślenia... Wokół kartki z niedokończonymi opowiadaniem, jakieś strzępki myśli rzucone na papier, kłębią się znajome upiory z przeszłości.

- Trzeba to jakoś ułagodzić, wyprostować - myślę leniwie. Ale zamiast tego przypominam sobie moje ostatnie spotkanie z P. To początkowe zainteresowanie cudzymi myślami, każdym gestem, słowem, które przecież niebawem przeraża się w monotonię i przesyta, w męczące znudzenie. Znam

zasady tej gry, dlatego dennerwuje mnie głupia, wiecznie kobieca część mojego ja, która chętna jest podjąć ją na nowo.

\*

Na ten wyjazd namówiła mnie Maria. Osoba zupełnie niesamowita i pełna pomysłów. Jednym z ostatnich było zorganizowanie występów zespołu cygańskiego. Właśnie jej podopieczni mieli dzisiaj dać pierwszy występ i byli ogromnie zdenerwowani. Prześliczna Fatima, ubrana w różową długą suknię, przegarniała co chwila włosy ręką pytając mnie: Proszę pani, czy tak dobrze? Potem, chowając się za moimi plecami przed wzrokiem ojca, zapaliła ukradkiem papierosa.

Właśnie skończyli występ Indianie z Boliwii. Wszyscy czterej o krótkich nogach, ze smolisto czarnymi włosami zebranymi do tyłu. Grali znakomicie, wobec czego podchodzę do jednego z nich i zapisuję adres zespołu; bardzo chciałabym zaprosić ich na mój wernisaż. Zgadzą się chętnie, chociaż wydaje się, że cena za występ jest nazbyt wygórowana. Ten, z którym rozmawiam, nazywa się Aleksandro Velasquez i najlepiej z nich mówi po polsku. Ale to zapewne z racji polskiej żony. Uśmiechamy się do siebie. Zaraz otacza ich wianuszek nastolatek proszących o autograf.

Na scenę wchodzi podopieczni mojej przyjaciółki. Mały Zbyszek, kilkunastoletni dzieciak o niesamowitym głosie, jest najbardziej zdenerwowany. Maria popycha go zdecydowanie w stronę sceny. Moim zdaniem śpiewają doskonale, ale przyjaciółka twierdzi, że to tylko połowa tego, co potrafią. Uważa, że są zbyt spięci. Być może. Sami wykonawcy też nie są z siebie do końca zadowoleni, zwłaszcza mały. Wygląda zabawnie w za dużych butach i w wyszywanym cekinami szaliku na szyji.

Wracamy do miasta. Jeszcze w autobusie, a właściwie



mikrobusie, który odwozi cały zespół prawie pod próg wysokiej kamienicy, wciśniętej między bloki, nasi cygańscy przyjaciele zapraszają mnie i Marię na kawę. Nie mam zbyt wiele czasu, ale koleżanka daje mi rozpaczliwe znaki, że-  
bym się zgodziła. "Z serca prosimy" - mówi Sylwester. Jego ojciec potakuje. Zamieszkują na parterze trzy pokoje w amfiladzie. Wszędzie porządek i czysto. Sylwek pokazuje mi sypialnię z wielkim białym łóżem i toaletką, na której stoi mnóstwo kosmetyków dobrej jakości. Za chwilę jego młodziotka żona podaje kawę. Mały Zbyszek nuci coś pod nosem. Jego starszy brat bierze do ręki gitarę, potem przyłącza się reszta rodziny i to jest dopiero koncert! "Tak powinni byli zaśpiewać na koncercie" mówi Maria. Fatima wyskakuje na środek pokoju i pociąga mnie za rękę, ja szarpnię moją przyjaciółkę i we trzy wirujemy boso po dywanie.

Zamykam oczy i już nie jestem na parterze ciemnej kamienicy, ale w tym zapamiętanym z dzieciństwa taborze cygańskim, który rokrocznie rozbijał swoje namioty pod lasem, gdzie kończyły się pola uprawne i rozpoczynały niczyje łąki, porośnięte trawą po pas. Leżąc w tejże trawie, podglądaliśmy życie tych dziwnych, niespokojnych ludzi, którzy oszalamiali nas swoim kolorytem i jakąś niezwykłą tajemnicą, tak pociągającą nas, dzieci.

Cichnie muzyka, zmęczone padamy na kanapę. Stary Cygan mówi do mnie: Pani mogłaby tańczyć w naszym zespole. Uśmiecham się do Marii.

\*

Powietrze było delikatne i miękkie jak dłoń kobiety. Słońce zaszło już jakiś czas temu, ale zmierzch nadciągał nieśpiesznie na łące w pobliżu lasu... Znała na pamięć te wszystkie objawy, jak przyjazne dźwięki jakiegoś utworu granego od

lat, czy od lat czytanej książki. Wiadomo było co i kiedy po sobie następuje. Ta nieuchronność scen wpływała kojąco i dawała poczucie bezpieczeństwa. Nad lekko zroszoną w tej chwili trawą rozsnuwała się delikatna mgła. Szarość pogłębiła się i pęczniała, ogarniając coraz większe przestrzenie. Zastanawiała ją i zdumiewała płynność, bezszelestne przechodzenie i miękkość następujących zmian. Zdumiewała i zachwycała jednocześnie. Jedyne jej głowa była niepodatna na ten wieczorny spektakl - ciężka od upału i zgiełku miasta - tętniła jeszcze nieprzyjemnymi myślami, które tłukły się pod czaszką jak oszalałe od słońca muchy. Coś się w niej buntowało, usiłowała uciec od nich... wiedziała jednak, że nie potrafi. Przeczytała jeszcze raz ostatnie zdanie: "Ból bierze się nie z otaczającego nas świata czy działań innych ludzi. Pochodzi z wnętrza. Powstaje, gdy zrozumiemy, że spotkała nas porażka".

Nagle cały świat skurczył się do tego jednego słowa - porażka. Łzy napłynęły jej do oczu, ale pomyślała, że jednak nie będzie płakać. Tak naprawdę przecież, jak zwykle, sama sobie jest winna. Przez chwilę miotaly ją tak niedobre uczucia, że aż poczuła się niegodna wieczornego misterium. Otuliła się szalem i poszła w głąb ogrodu i dalej przez łąkę. Zdjęła pantofle i zachwycała ją jędrność mokrej trawy.

Jakoś to będzie - pocieszała się w myślach. - Przecież mam jeszcze dom i psy, a w końcu ile razy można przeżywać ten sam scenariusz - skrzywiła się z niesmakiem na wspomnienie.

- A może to jest jak zmierzch - podszeptał jej jakiś wewnętrzny głos - nadchodzi co wieczór, a ty za każdym razem przeżywasz go na nowo i zachwycasz się nim tak samo?...

Spojrzała pytająco na kroczącego obok niej psa. Poruszył lekko ogonem, czując jej wzrok.

- Więc jednak nie można się na to uodpornić? Znowu

przyjdzie ktoś, a ja będę przeżywać i miotać się tak jak teraz? No nie... - zacisnęła pięści ze złością. Nigdy więcej...

Jak na ironię wyobraźnia podsunęła jej tamto kpiące spojrzenie ciemnych oczu i ostatnie słowa, które usłyszała, zanim zamknęła drzwi: Będiesz nieszczęśliwa. Wtedy wybuchnęła nieszczerym śmiechem. Ale wiedziała, że to były jedyne prawdziwe słowa, jakie od niego usłyszała.

\*

Dosyć rzadko wracam myślami do wakacji spędzanych w towarzystwie trzech sióstr M. Może dlatego, że tamten okres mojego życia był męczącą szarpaniną z samą sobą, nurzaniem się w problemach egzystencjalnych, zaczytywaniem się Sartrem, usilnym poszukiwaniem czegoś, na co byłam jeszcze za młoda i zbyt niedojrzała.

Rodzina moich przyjaciółek wykupiła starą chatę za wsią: zimą mieszkali w niej lokatorzy, a latem my. Pamiętam rozległe, niskie i puste pomieszczenia. Pod ścianami w tak zwanym salonie stały pluszowe zniszczone kanapy i nasze legowiska. W jednym rogu królowało wielkie pianino, na którym ćwiczyłyśmy, albo grał jakiś zaproszony przez nas gość. Z pokoju wchodziło się na werandę zagraconą do granic wytrzymałości, a stamtąd już wprost do sadu zakończonego szopą pełną siana. Na poddaszu królowało wielkie łóżce, w którym gnieździłyśmy się w pochmurne dni wszystkie trzy, na zmianę czytając czy dyskutując zaciekle.

Wieczorem, przyodziane w kolorowe spódnice, robiłyśmy długi spacer do wsi, skąd przynosiłyśmy pełną konew świeżego mleka od starej Florkowej, zaprzyjaźnionej od lat z rodziną. Florian, jej mąż, przesiadywał na ławeczce przed domem. Odburkiwał coś niewyraźnie na nasze powitanie i dalej zapadał w niekończącą się drzemkę. "Ależ chudziny z

was - biadała nad nami Florkowa - zagłodzicie się do cna, zanim pani Marynia przyjedzie". Matka moich przyjaciółek miała w zwyczaju przyjeżdżać na parę dni przed końcem miesiąca, żeby dotrzymać nam towarzystwa i zamknąć dom na zimę. Nie martwiłyśmy się zbytnio brakiem jedzenia, mama siostr M. też nie przywiązywała wagi do tak przyziemnych spraw. To prawda, że żywiłyśmy się głównie tym mlekiem, ale też gotowałyśmy ryż oraz warzywa, które były w ogrodzie. Jeśli już nam się to znudziło, któraś pędziła do wsi po chleb i konserwy. Zwłaszcza wtedy, kiedy mieli nadjechać goście. Zwykle byli to przyjaciele Anki, która studiowała w klasie skrzypiec.

Pewnej niedzieli przyjechała Rita - Indianka z Peru, jedna ze zdolniejszych uczennic, jak mówiła Anka. Grała do późna w noc. Dźwięki skrzypiec wymykały się przez werandę i osiadały lekko, leciutko na pokrytej rosą trawie. Pamiętam niesłychanie czarne i gęste włosy Rity, które w promieniach świec lśniły i zdawały się żyć własnym życiem.

Któregoś roku wydarzeniem był przyjazd dwóch znanych obecnie tenorów z Operetki Poznańskiej, w owym czasie jeszcze studentów. Po dosyć dziwnej kolacji, po długim spacerze leśnymi drózkami, wreszcie około północy zgromadziliśmy się w salonie. Rano, bardzo wcześnie, goście z Poznania mieli autobus i nie było sensu kłaść się spać. Zaczęli więc śpiewać. Popłynęły arie z oper i operetek. Maria usiadła przy pianinie. "Ave Maria", które około piątej nad ranem zakończyło ten niezwykle występ, słyszalne było chyba we wsi. Powietrze bowiem tego ranka było niesłychanie przejrzyste...

Było też wiele innych wydarzeń, które wtedy wydawały się być nieistotne, a dopiero teraz wynurzają się z pamięci. Paliliśmy w popsutym piecu, przymierzałyśmy stare, przedwojenne chyba suknie pani Maryni, zalegające dwie

skrzypiące szafy. Czytałyśmy na głos wygrzebane książki o pożółkłych kartkach, których w mieście nie wzięłybyśmy do ręki. Zaśmiewałyśmy się w głos, czytając te ckliwe romansidła. Nam się marzyły sprawy i rzeczy ambitniejsze niż wzdychanie do jakiegoś osobnika płci męskiej o zabójczym spojrzeniu. "Że też ludzie tracą czas na takie głupoty" - mówiła z obrzydzeniem najładniejsza z sióstr, Zofia. Ironia losu okazała się jednak wyjątkowa. Ta sama Zofia, gnana wielkim uczuciem, które zatruło później jej życie na wiele lat, popędziła do Paryża właśnie za młodym człowiekiem o zabójczym spojrzeniu. Dyplomata z zawodu, synem znanego pisarza. Ona zaś była tylko nieznaną, chociaż zdolną wiolonczelistką. Emigrantką w dodatku. "A ja chciałabym się zakochać i mieć normalną rodzinę" - kontrowała ją Anna, najbardziej realistycznie nastawiona do życia z nas wszystkich. Anna w wiele lat później założyła w Niemczech prywatną szkołę skrzypiec i wyszła za mąż za uroczego Norwega. Ma ślicznego synka imieniem Jan.

Maria nie odzywała się. Ona już wtedy przeżywała swoją wielką, tragiczną miłość. Ja też milczałam, ale ja jeszcze wszystko miałam przed sobą.

\*

- Macie tą swoją wolność - prawie krzyczy wzburzona Marylka.

Nie wiemy, o co chodzi. Podtyka nam pod nos gazetę, gdzie jest artykuł o prawach rodziców do nieustannego kontaktu z dzieckiem przebywającym na oddziale szpitalnym. Tak. Znamy to.

- Uspokuj się i powiedz, co się stało - mówi Krzysiek.

- No więc - zaczyna nasza koleżanka zaciągając się łąpczywie papierosem (siedzący obok szef nie protestuje, chociaż

zasadniczo w dyżurce nie palimy) - miałam wczoraj kosz-  
marny dyżur; jak się zaczęło zaraz po trzeciej tą dusznością,  
to potem było szycie wargi, w pięć minut później nastawia-  
nie nosa i tak już prawie do samego wieczora, nawet herbaty  
nie było kiedy wypić, ale nie o to chodzi. Po południu  
rozpoczęła się dosłownie inwazja rodziców na oddział. Po-  
myślałam, że posiedzą do ósmej wieczorem i pójdą, a pie-  
lęgniarki ułożą dzieci do snu i będzie trochę spokoju, ale  
gdzie tam. Przecież takie dziecko normalnie w domu po-  
szłoby już spać, a tutaj matka siedzi do jedenastej i kiedy  
wreszcie decyduje się iść do domu, to dopiero jest krzyk.  
Mało tego, inne dzieci też się budzą - jednym słowem horror.  
W dodatku niektóre z matek prosiły pielęgniarki, żeby im  
zrobić kawę, bo są zmęczone. Wybaczcie, ale na takie usługi,  
zwłaszcza na ostrym dyżurze, oddział nie jest nastawiony -  
Maryla toczy po nas oburzonym wzrokiem. - Poza tym, nie  
wiem jak wy, ale ja nie umiem pracować, kiedy na oddziale  
jest kilkanaście obcych osób, które płaczą się po salach,  
zaglądają do zabiegowej, gdzie ja akurat nastawiam nos i  
pytają, czy na przykład Jasiowi można podać jabłuszko.

Marylka jest rozżalona. Rozumiem ją, ale jest to zarządze-  
nie odgórne, więc cóż...

### *Październik*

Liście leżą gromadnie pod drzewami, coś tam poszeptują  
między sobą. Nagle zrywają się do lotu opadając kilka  
metrów dalej, zniechęcone...

Altany na żałośnie opustoszałych ogródkach działko-  
wych porzucone jak chwilowe kochanki, nagle pobrzydłe i  
pobladłe, kulą się pod smagnięciami wiatru. Smutno.

Rozglądam się po poddaszu, opustoszałym po mojej wy-  
prowadzce. Nagle niepotrzebnie dużym. Książki, które za-

brałam ze sobą, odsłoniły całe połączenie ścian odpychających zakurzoną nagością. Dywan, poprzednio uginający się pod ciężarem wielkiego stołu: nie narzucający się obecnością, prezentuje wstydliwie wyblakły, turecki wzór, na który nikt nie patrzy.

\*

Pierwszą, największą miłością mojego życia był Burek. Nieładny i wiecznie czymś umorusany pies. Kiedy przybiegał na moje wezwanie, wydawało się, że właśnie oderwałam go od jakiegoś zajęcia nie cierpiącego zwłoki. Łapy miał umazane po łokcie w ziemi, w futrze kawałki trawy, siana, a nierzadko piór. Denerwowało to ogromnie moją mamę, ponieważ podejrzewała go o odwiedzanie kurnika babci Stefanii, ale ani ja, ani tym bardziej on, nie przywiązywaliśmy wagi do jej niezadowolenia. Burek był psem łagodnym i beztroskim. Codziennie ukazywał mi swoją roześmianą mordę i patrzył z oddaniem w oczy. A potem zgodnie przepadaliliśmy w dalszych, zarośniętych częściach ogrodu, gdzie on z pasją oddawał się kopaniu jam.

Kiedyś przyszło wielkie nieszczęście. Biegającego samopas po lesie mojego Przyjaciela zastrzelił leśniczy Antoni, mąż owej Stefanii. Jak się okazało, podejrzania o wizyty w kurniku były jednak uzasadnione. Ale ja długie lata nie mogłam Antoniemu tego wybaczyć. I nawet chyba do końca mu tego nie wybaczyłam. Rozpaczałam długo i szczerze. Tak jak to tylko dziecko potrafi. Kaprysiłam przy jedzeniu, a nawet na jakiś czas w ogóle przestałam przyjmować pokarmy. Wiedziałam, że nikt na mnie nie czeka, że nie usłyszę porannego skrobienia do kuchennych drzwi i popiskiwanie mojego Przyjaciela, który niecierpliwił się czekając, aż skończę owsiankę. Tylko dla niego warto było ją kończyć. Teraz

rozmażywałam jedzenie po talerzu, dumając smętnie. Życie straciło nagle wszelkie uroki.

Mama załamywała ręce widząc jak chudnę. W końcu po radzie z babcią Stefą kupiła kozę Jagusię. Mleko kozie miało mnie postawić na nogi, a koza zastąpić nieodżałowanego Burka. Ale jednak to nie było to. Jagusia przywiązana do palika w ogrodzie pasła się spokojnie. Owszem, lubiłam pogłodzić jej mięciutką bródkę, ale od samego początku nie rozumiałyśmy się. Mówiłam do niej, patrzyłam jej w oczy, były to jednak monologi; ona zainteresowana wyłącznie jedzeniem, kiedyś usiłowała nawet zjeść połę mojego płaszczka. I na tym nasze kontakty ostatecznie się urwały. Krążyłam samotnie po lesie - tam gdzieś leżał zakopany mój Przyjaciel. Rozgrzebywałam namiętnie każdy wzgórek w poszukiwaniu jego doczesnych szczątków. Postanowiłam bowiem zakopać je w ogrodzie pod starą jabłonią, którą tak oboje lubiliśmy. Ale nawet i to nie było mi dane. Z dnia na dzień byłam coraz bardziej nieszczęśliwa.

\*

Czytam po raz kolejny list od Teresy, a właściwie tylko fragment: "Wiesz, zazdroszczę Ci jednego, że masz wszystko tak poukładane, że to, co robisz ma ręce i nogi". Zdumiewam się. Niejednokrotnie przecież pisałam do niej rozpaczliwe listy pełne wewnętrznej szarpaniny, aż po histerię. Pomstowałam w nich na przypadkowość moich poczynań, nieudolność i brak sensu. Więc mimo wszystko w oczach postronnego obserwatora ma to jakiś ład, a nawet pozory działania uporządkowanego, czegoś co ma ręce i nogi???

Kochana Teresa. Ta opinia, pisana przecież na wyrost, przywraca mi momentalnie wiarę w jakie takie uzasadnienie mojego istnienia. Jeśli chociaż jedna osoba tak to widzi...



Kiedy po raz pierwszy poczuła na sobie spojrzenie ciemnych oczu, jakaś jej cząstka drgnęła przestraszona. Nie było w nim nic zaczepnego, jedynie osobliwa uwaga i zastanowienie, co siłą rzeczy i w niej wywołało ten sam oddźwięk.

- No nie, to niemożliwe, przecież ten facet jest ode mnie młodszy - myślała gorączkowo - zdecydowanie nie, a poza tym za dużo sobie wyobrażasz jak zwykle zresztą, moja miła. Może mu ktoś tylko przypominasz?

Ale to ciemne, uważne spojrzenie prześladowało ją długo. Spotykali się dosyć często na różnych imprezach, na których bywali z racji wykonywanych zawodów.

- To niemożliwe, żeby była taka delikatna i bezbronna, na jaką wygląda - myślał. Nie miał odwagi do niej podejść. Nie dlatego, żeby był nieśmiały w stosunku do kobiet, ale bał się, że czar pryśnie. A ona nie szukała pretekstu do zawarcia znajomości, chociaż mieli wspólnych znajomych.

W czterdzieste urodziny spojrzała do lustra i doszła do wniosku, że już za późno na cokolwiek.

- Jak bym mu pokazała rano swoją twarz bez makijażu?

Przypomniała sobie jego czarne, lśniące włosy i poczuła bolesne ukłucie w okolicy serca.

- Mężczyźni cenią jednak bardziej gładką skórę, nawet jeśli idzie ona w parze z niezbyt pofałdowaną korą mózgową - pomyślała z goryczą. Przebije mnie pierwsza lepsza głupia osiemnastka.

Z rezygnacją nałożyła warstwę tuszu na rzęsy.

Tym razem patrzył z niechęcią na swoje odbicie przy porannym goleniu. Po raz pierwszy oburzyła go etykieta, którą przyklejano do każdego przystojnego faceta: że jest z reguły głupi, niezdolny do głębszych uczuć i koniecznie

podrywacz. Coś w tym było, ale przecież nie do końca. Nigdy do tej pory mu to nie przeszkadzało. Wiedział swoje. Ale przecież ona nie musiała o tym wiedzieć. Pewnie dlatego jej wzrok, który kilkakrotnie po nim przesunęła, był tak obojętny. Owszem, utrzymywał koleżeńskie kontakty z wieloma dziewczynami, o czym doniosą jej zapewne usłudźni znajomi, ale pilnie uważał, żeby nie wykraczały one poza zwykłe znajomości. Zastanawiał się, co go właściwie zafrapowało w tej kobiecie. Nie, nie ta jawna obojętność, która przecież mogła być zwykłą gierką. Nie.

Lubił brunetki. Ona też sprawiała wrażenie ciemnej i mrocznej, chociaż była raczej szatynką i miała szare oczy. Tyle zdołał już zauważyć. Nosila ciemne, długie spódnice, układające się w mnóstwo fałd i zwykle jakiś mały, kolorowy żakiet. Pantofle na płaskim obcasie, których nie lubił, u niej sprawiały wrażenie lekkości i wdzięku. Miała w sobie coś z baletnicy, coś z cyganki. Przeważnie miała zamkniętą, surową twarz, ale też widywał ją roześmianą w gronie znajomych. Jak na złość nikt się nie kwapił, żeby ich sobie przedstawić. Na razie nie widział więc żadnej możliwości...

Te przypadkowe spotkania sprawiały jej przyjemność, ale nie posuwała się dalej; tak sobie przyrzekła.

- Nie potrzebuję mężczyzny, żeby zrobić coś pożytecznego ze swoim życiem - powtarzała zajmując się jakąś nową sprawą. Przyłapywała się jednak na tym, że....

- Niech się dzieje co chce, byle się działo - powtarzała jej przyjaciółka, nurzając się we wszelkiego rodzaju przyjemnościach życia domowego - od gotowania do przewijania pieluch włącznie. - Spójrz na mnie i niech Ci to będzie przestroga. Korzystaj z okazji, zanim popadniesz w ten kołowrót - mówiła podgrzewając papkę dla niemowląt.

- No nie Tereniu, nowy facet, nowe kłopoty, to nie na moje siły - odpowiadała zniechęcona.

- Wiesz co, moja droga, jeśli już oceniamy kto jest kłopotliwy, a kto nie, to ja, szczerze mówiąc, z tobą też bym długo nie wytrzymała. Wymagania masz takie, że ho, ho. W dodatku sprawiasz wrażenie osoby zarozumiałej i nieprzystępnej - oburzyła się Teresa. - Pamiętasz, na obozach wszyscy faceci się w tobie podkochiwali, ale nie mieli odwagi do ciebie podejść. Przychodzili wyplakiwać się do mnie.

- Naprawdę? - była szczerze zdziwiona - nic mi o tym nie mówiłaś.

- Jestem dyskretna i nie zdradzam cudzych sekretów - moja przyjaciółka zaczęła energicznie karmić swoje dziecko.

- To dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz, mogłaś mnie dowartościować wcześniej - była naprawdę oburzona - wiesz jaka wrażliwa jest kobieta koło czterdziestki.

- Moja droga, było - minęło. Dzisiaj jest dzisiaj. Ale widzę, że i tak nie wyciągnęłaś nauczki. No chociażby ten przystojniak. Dalej popełniasz ten sam błąd. Patrzysz na faceta jak na mebel, już ja znam te spojrzenia. Czekasz, że on padnie ci do stóp. Zaryzykuj, jeśli znowu coś nie wyjdzie, trudno. Takie jest życie. Najwyżej trochę pocierpisz - zakończyła wreszcie swoją tyradę.

- Dobrze sobie - trochę pocierpisz - pomyślała ubawiona.

Mijały tygodnie i miesiące, momentami zupełnie przestała o nim myśleć, ale czasami znowu wspomnienie jego ciemnych włosów przeszywało ją na wylot.

- Minie - pocieszała się - nie takie sprawy mijają przecież i nie takie zauroczenia.

Październik i listopad przetoczyły się ciężkimi chmurami i deszczem. Nie zdarzyło się nic godnego uwagi oprócz zwykłych domowych spraw i kłopotów. Wyobraźnia przygasała i wieczorami, wklepując krem pod oczy, nawet nie patrzyła na swoją twarz w lustrze. Dlatego też zaproszenie na wernisaż przyjęła bez specjalnego entuzjazmu. No cóż,

trzeba trochę bywać wśród ludzi - myślała, nakładając machinalnie makijaż. A już później, popijając czerwone wino, krążyła po salach, wymieniając jakieś grzecznościowe uwagi. Nagle uczuła szarpnięcie za rękaw.

- Chodź do nas, gdzie ty się cały wieczór podziewasz? - Ewka jak zwykle olśniewała jakąś udziwaczną kreacją i nadmierną ilością biżuterii. - Właśnie mówię, że bycie z mężczyzną to nieustanne oczekiwanie na katastrofę, mam rację?

Przytaknęła na odczepnego. Dopiero teraz go zauważyła. Podszedł do Ewy i podał jej kieliszek wina.

- Pewnie się nie znacie? - Ewa z lekką ironią dokonała prezentacji, widząc, że patrzą na siebie nie zwracając na nią uwagi. Już pewnie układała smakowitą historyjkę na ten temat.

- Jest bardzo pięknym mężczyzną - zarejestrował jej mózg - jeszcze przystojniejszym, niż się wydawało. Nie, to ponad moje siły, nie potrafię. Nie dam rady. Czują jak zaczynają drżeć jej ręce. - Wybaczcie, jestem spóźniona - powiedziała resztką zdrowego, jak się jej wydawało, rozsądku.

- Wariatko, gdzie lecisz, zabawa dopiero nabiera rumieńców - Ewa wzruszyła ramionami.

Skierowała się w stronę ciemnego korytarza, czuła, że wszyscy na nią patrzą, nogi miała jak z waty.

- Powinien za mną pójść, jeśli mu chociaż trochę na mnie zależy - myślała zadziwiająco logicznie. Włożyła płaszcz, odgarnęła włosy przed lustrem. W oczach miała tyle żalu, aż poczuła coś na kształt litości dla samej siebie. Szatniarz patrzył wyczekująco, więc dała mu jakieś drobne. Ciężkie wejściowe drzwi wypchnęły ją dosłownie na ulicę. Prosto w deszcz.

\*

- Siostró, siostró Elżbieto! - niesie się korytarzem wołanie pacjenta.

- Ta Elka porozpuszczała nam pacjentów do reszty - mruczy bez złości oddziałowa. Ale nawet woli sobie nie wyobrażać, co by zrobiła, gdyby tej dziewczyny zabrakło.

Właściwie wszyscy jesteśmy pod wrażeniem, jak bardzo jest oddana swoim pacjentom.

- Ja bym tak nie potrafiła - mówi szczerze jedna z jej koleżanek. - Rozumiem, że należy dobrze wypełniać to, co się powinno robić i co należy do zakresu naszych obowiązków, ale ona jest dosłownie na każdą usługę i na każde skinienie. Tak też nie można - wzrusza ramionami.

### *Październik*

To moje czwarte czy piąte spotkanie z Prezesem. Już z daleka widziałam jego wielką, barczystą postać, królującą za stołem. Przypominał mi trochę Franca Fiszera, trochę Wańkowicza. Nawet nie spodziewałam się, że czytał moją książkę, ale owszem, czytał i nawet pozaznaczał fragmenty, z których musiałam się wytłumaczyć.

- Naprawdę grasz Chopina? - zainteresował się na końcu.

Przytaknęłam. Wskazał mi końcem laski pianino. Uderzyłam lekko palcami w połówkę klawisze, ale było tak rozstrojone, że nie mogłam grać.

- Tym razem ci daruję - powiedział żartobliwie, grożąc mi palcem. - Bardzo to pięknie napisałaś - pokazał mi zakreślony czerwonym ołówkiem fragment. - Ludzkie losy... tak, tak. Dobrze to napisałaś - na chwilę zamyślił się nad czymś, ale zaraz uśmiech i ta siateczka zmarszczek wokół oczu. - A co poza tym? - zapytał nagle i wiedziałam, że nie jest to zwykle pytanie o to, jak mi się wiedzie. - Widzę to po

kolorach, że coś się dzieje - wskazał palcem na moje akwarele.

Spuściłam oczy nagle zawstydzona tą wieczną babską szarpaniną, tym kłopotaniem głowy o kogoś, kto nie był tego wart. Tyle tylko, że dopiero teraz o tym wiem. Patrzę Prezesowi w oczy, kiwa wyrozumiale głową i macha ręką...

- A ja mam kłopoty z sercem - mówi - coraz mi trudniej, coraz ciężej...

Chcę przez moment pogłaskać go po rękę, która na tle wielkiego zabytkowego stołu wydaje się taka mała i bezbronna, ale nie mam odwagi...

- Niech pan jeszcze poczeka, jeszcze trochę - mówię żarliwie. Patrzy na mnie ironicznie.

- A na co mam czekać, aż się ustatkujesz z tymi kolorami?

- Chociażby, ale ostrzegam, że to nieprędko nastąpi - uśmiecham się do niego z odrobiną lżejszym sercem.

- Zobaczę, co da się zrobić - odpowiada.

Pijemy wino - za wystawę, za spotkanie, płynie muzyka. Patrzę na porozwieszane akwarele. Spoglądają na mnie ze ścian jak wyrzut sumienia.

\*

W naszym domu pojawili się lokatorzy. Miałam wówczas chyba pięć lat. Wynajęli małą mansandrę po lewej stronie na piętrze. Tam, gdzie teraz jest spiżarnia. Oboje byli bardzo młodzi i, jak mówiła matka w rozmowie z ojcem, zakochani. Mnie się wydawali ludźmi dorosłymi, zanadto dorosłymi. Więc dziwiłam się obserwując ich zachowanie. Trzymając się za ręce włóczyli się godzinami po okolicznych lasach, kiedyś przyłapałam ich na położonej nieopodal domu polanie. On leżał wyciągnięty na trawie z głową na jej kolanach, a ona plotła wianek z polnych kwiatów. W wirze codziennych zajęć ogrodowo-domowych takie marnotrawienie cza-

su budziło grozę i podkreślało niezwykłość tej pary.

- Mamo, czy oni zawsze będą tak żyć? - pytałam matkę, która wiecznie czymś zajęta, krzątała się tu i tam.

Machała tylko ręką i uśmiechała się pobłaźliwie. Spoglądałam na nią. Wydawała się taka szara, taka zagoniona. Tamta przypominała jakąś dziwożonę, czy leśną rusałkę z opowiadań niani - długie blond włosy, powiewne sukienki w kwiatki. Na niego nie zwracałam uwagi.

Wieczorem rodzice rozmawiali między sobą, że ta młoda jest flejtuch i leniwa, nie gotuje obiadów i właściwie nie wiadomo, czym się żywią. On zaś wyleguje się tylko pod drzewem, coś tam czyta, ale w gruncie rzeczy chyba na porządnej robocie mu nie zależy. Tak mówiła matka. I nie było aprobaty w jej głosie. Nie wszystko rozumiałam z tych zarzutów i nie brałam sobie tego do serca. Bawiło mnie podglądanie tej pary. Wnosili jakąś inność w moje życie. Powiew niefrasobliwej radości, tak obcy w naszym domu, gdzie wszystko było nasiąknięte kwaskawym zapachem trosk, jeśli nie o to, co się już zdarzyło, to o to, co jeszcze nadejdzie. "Co za czasy, co za czasy" - wzdychał ojciec czytając wieczorem gazetę. Siedziałam w kącie za szafą usypiając lalkę z gałganów, sama wpółdrzemiać w ciepłe kuchennego pieca i marzyły mi się napoleonki babci Stefani, albo pieróg drożdżowy faszerowany kapustą. Na kolację będą na pewno znienawidzone kluski na mleku, które niania już zagniała na stolnicy pogadując coś tam do brata. Matka ceruje pończochy wzdychając od czasu do czasu. Zastanawiam się, czy ona plotła kiedykolwiek wianki z polnych kwiatów i czy miała długie rozpuszczone włosy jak tamta, ale wstydzę się zapytać.

Po wielu latach, kiedy byłam już dorosła, matka pokazała mi na ulicy jakąś postarzałą, nieładną, grubą kobietę dźwigającą siatki.

- Poznajesz? - pyta mnie szeptem.

Unoszę ze zdziwieniem brwi, kiedy mówi, że to nasza była lokatorka. Niemożliwe.... gdzie się podziała rusalka, dziwożona w wianku na głowie?

- No wiesz - mówi matka - życie ją też dopadło.

Zatrzymuję się gwałtownie przed wystawą i patrzę na swoją smukłą sylwetkę w ładnej sukience. Zaciskam ręce ze złością. Mnie nie dopadniesz, nie mnie - powtarzam cicho kilka razy.

\*

Przemożna ochota rozpalenia wielkiego ogniska zwykle nachodziła mnie w okolicach jesieni. Kiedy pożółkłe drzewa strząsały z siebie resztki liści, a babie lato było ostatnim miłym wspomnieniem. Zimne wieczorne i poranne mgły oplatały śliskimi od wilgoci ramionami las i łąkę, wkradały się do ogrodu...

Zbierałam suche gałęzie, których całe mnóstwo leżało zaraz na skraju leśnego gąszczu. Pachniały grzybami i pleśnią. Ten zapach długo potem utrzymywał się na moim swetrze. Oprócz wysuszonych konarów i gałęzi było tam mnóstwo innych rzeczy - porzucona muszelka winniczka, cała rodzina dorodnych surojadek, która cudem uratowała życie przed niedzielnymi zbieraczami grzybów i opuszczone mrowisko. Wymarły kopiec ziemi sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Pamiętam, że jako dzieci przychodziliśmy tutaj obserwować te niesamowite stworzonka, które teraz odeszły w sobie wiadomym kierunku i z siebie tylko wiadomych przyczyn.

Powoli układałam kawałki drewna. Zaczynał zapadać wczesny zmierzch. Pierwsze płomyki ognia zwiabiały zwykle mojego psa, który siadał obok. Co jakiś czas zwracał ku



mnie swoją małą, czarną mordkę, patrząc przy tym pytająco. Wiem o co mu chodzi, ale ziemniaki nie są jeszcze gotowe.

- Jeszcze nie czas - mówię, a on kiwa ze zrozumieniem głową. Poczekajmy...

Myślę o swoich sprawach, których nagromadziło się tak wiele ostatnio. Dobrych i złych, chociaż, niestety z przewagą tych ostatnich. Dlaczego muszę sama rozwiązywać wszystkie problemy? Wzdycham żałośnie z litości nad swoim losem. Pies przysuwa się bliżej i trąca zimnym nosem moją rękę:

- Zamiast tak się użalać, podrap mnie lepiej za uchem, czas mi się dłuży w oczekiwaniu na to jedzenie.

Posłusznie czochram jego miękkie futerko i jakoś mi lżej. On przelyka głośno ślinę. Mijają minuty, a może godziny... Czas zahipnotyzowany tańcem płomieni zatrzymuje się w biegu. Rozgrzebuje żar i rzucam w stronę psa gorący kartofel.

- Tylko poczekaj, aż ostygnie - mówię groźnie. Ja jem swój od razu, parząc usta. Najbardziej smakuje mi ta spalona na węgiel skórka. Pies czeka cierpliwie, od czasu do czasu sprawdzając nosem temperaturę kartofla. Potem, gdy kartofel lekko ostygnie, bierze go między łapy i zębami zdejmuję skórkę.

- Coś ty - mówię - skórka jest najlepsza.

Ale nie zwraca na mnie uwagi. Ognisko zamiera. Gdzieś za ostatnią topolą wschodzi księżyc. Dogasa kilka ostatnich polan. Czas do domu, piesku...

\*

Właśnie zmarła nasza koleżanka z roku.

- Jaki to ma sens - powiedziała nagle Zośka, ni to do nas, ni to do ściany w gabinecie lekarskim.

- O co ci chodzi? - Zenek podniósł głowę znad wypisów.

- No wiesz, mówię o życiu w ogólności. Niewiele się przeżyje, same zgryzoty i zmartwienia, i nagle dowiadujesz się, że masz raka, czy inne choróbko i już trzeba umierać. Kto to w ogóle wymyślił - nagle zaperzyła się w moim kierunku.

- Zocha, daj spokój, przecież istniejemy po to, żeby wypełnić lukę między poprzednim i następnym pokoleniem. To ważne zadanie.

Spojrzałam na Zenka. W zasadzie nie było wiadomo, kiedy mówi poważnie, a kiedy żartuje.

- Tylko po to! - Zosiątko skrzywiło z niesmakiem ładne usta.

- Jest jeszcze parę innych zadań, chętnie bym ci wytłumaczył wieczorem - Zenek mrugnął w moim kierunku.

- Jesteś obrzydliwy - nasza koleżanka obruszyła się - ja mówię poważnie, a ty masz jak zwykle jakieś robaczywe myśli.

- Może to jednak ty, a nie ja - odparował.

Rozmowa wyraźnie zaczęła prowadzić donikąd.

- Uspokujcie się - nie wytrzymałam - w końcu umarła Elka i moglibyście przynajmniej dzisiaj powstrzymać się od osobistych wycieczek.

Wszyscy znaliśmy Elżbietę, ale ja chyba najbliższej. Łączyło nas wspólne dzieciństwo, podstawówka, ogólniak i studia. Miewałyśmy wspólnych znajomych, nigdy nie rozstawałyśmy się na dłużej. Dopiero teraz zaczęłam rozpatrywać, jaka naprawdę była Ela. Niby żadna z niej piękność, jednak wszystkie fragmenty - połączone w niezbyt harmonijną całość - były w dobrym gatunku. Miała piękne zęby, które jednak nie olśniewały w drobnej, nieregularnej twarzy. Zachwycały jej nogi, ale nie eksponowane odpowiednim ubiorem ginęły w fałdach buroszarych szmat, do których miała

słabość. Nieskazitelną cerę przysłaniały strąki zaniedbanych włosów. Czasem jednak, kiedy trafiała się jakaś okazja, Elka wylaniała się jak Wenus z morza. Nasi znajomi płci męskiej otwierali szeroko oczy. Tyle, że później następował zwykły, szary dzień szaroburych szmat i opadających strąków. Wzruszałam ramionami - żeby tak marnować dary natury?

Wiadomość o chorobie Elki była tak niewiarygodna, że prawie wydawała się jakimś absurdem, fatalnym dowcipem. Długo nie mogłam w to uwierzyć. Ale to jednak była prawda. Zniknęła mi na długo z oczu - leczyła się w innym mieście, w znanej Klinice. Potem pojawiła się w dyżurce. Szukaliśmy na jej twarzy oznak choroby, tego piętna śmierci, którym każdy jest naznaczony w tym stadium.

- Wyglądasz, jakbyś miała trzy dyżury za sobą - zażartował Krzysiek.

- I tak dokładnie się czuję - odpowiedziała Ela.

Atmosfera rozluźniła się.

- Więc to nie jest aż takie straszne, skoro można jeszcze tak wyglądać. I czuć się jak po trzech dyżurach - myślałam gorączkowo. Więc może...

Ale przecież znaleźliśmy tylko tę prawdę, którą sama Elżbieta chciała nam wyjawić. Nic nie wiedzieliśmy o jej gorszych dniach, bezsennych nocach, kiedy krążyła po mieszkaniu zaciskając z bólu ręce. Dopiero potem.... ale było już za późno.

\*

*Marii Chętnickiej*

- Zawsze mamy mniej czasu, niż nam się wydaje - powiedziała filozoficznie Maria zapalając papierosa. Trawiliśmy popołudnie na jednej z tych rozmów, które do niczego nie

prowadzą. Jej mąż, przeglądający jakieś książki przy stole, wzruszył ironicznie ramionami. Właśnie wrócił z wyprawy naukowej, na której zajmowano się populacją myszy czy innych zwierzątek i szykował się do następnej.

- Wy, moje panie, macie go chyba za dużo - powiedział pośpiesznie patrząc na górę niedopałków w popielnicze.

Spojrzałyśmy z Marią na siebie - pewnie zaraz wygłosi nam pogadankę. No cóż, on nigdy nas nie rozumiał. Ale jednak nie, zajął się swoimi sprawami, uznając chyba za bezcelowe wszelkie dyskusje z nami. Maria westchnęła ciężko.

- Jego oprócz tych myszy nic nie obchodzi - powiedziała do mnie z rezygnacją.

Było popołudnie, pokój nagrзany do granic niemożliwości, a my obie w tym upale czułyśmy się zgnuśniale i niepotrzebne nikomu...

Postawiłam kropkę i przeczytałam jeszcze raz cały tekst, a potem skrzywiłam się z niesmakiem. Tak. Pamiętałam tamten dzień z Marią. Zaraz, zaraz, co się właściwie wtedy dalej stało? - zaczęłam zastanawiać się nagle. Nic, zupełnie nic. Nie zapadły przecież żadne epokowe postanowienia. Maria zaproponowała w jakimś momencie, żeby napić się wina, jej mąż po namyśle przyłączył się, ale tylko do wina. Po kilku kieliszkach rzeczywistość okazała się zupełnie znośna i wróciłam do siebie, do swego z trudem poukładanego wnętrza, zostawiając Marię z jej problemami. Z mężem, którego nie kochała, z całym tym nieudanym, pełnym zawiedzionych nadziei życiem.

\*

Ten jesienny wieczór był wyjątkowo urokliwy i ciepły. Nieliczne obłoki muśnięte różem zachodzącego słońca i ten nieodłącznie jesienny zapach dymu. Barbara zastygła w

ciszy, nad rabatką z astrami. Starala się wyłączyć z rzeczywistości - tej nieprzyjemnej, w której istniała i która zalegała jej głowę jak kawał niewyrośniętego ciasta. Najgorsza była nienawiść do Staszka. Nigdy by nie przypuszczała, że zajdzie aż tak daleko, że przybierze aż takie rozmiary. Teraz już nic nie potrafili robić normalnie, we wszystkim wyczuwało się walkę, chęć zdraśnięcia, czy chociaż ukłucia drugiej osoby.

Sytuacja w pojęciu Barbary była nie do naprawienia. Ze zdziwieniem obserwowała samą siebie - tę, która patrzy z nienawiścią na własnego męża. Na jego zwykłe czynności, sposób jedzenia, specyficzne gesty i odruchy, które kiedyś śledziła z czułością, z góry wybacząc. Teraz do pasji doprowadzały ją drobne, dziwaczne nawyki. I nie tylko to. Wszystko. Nawet jego zapach. Uczucie niechęci pojawiało się od samego rana - jeszcze wyciszone i zaspane. Rosło jednak powolutku, skutecznie, osiągając swoje apogeum wieczorem, kiedy wzbierała złowieszcza, pełna wzajemnych oskarżeń cisza. Często zachodziła w głowę - jak to się stało? Jaki był mechanizm tego procesu, który przecież musiał narastać latami, żeby w końcu osiągnąć taki stan. Usiłowała jakoś logicznie wytłumaczyć tę nienawiść, która przepelniała ją jak chora tkanka, rosła i pęczniała z dnia na dzień tak, że w Barbarze nie było już miejsca na myślenie o czymkolwiek innym.

### *Listopad*

Okropny, martwy miesiąc, czuję jak czas przecieka przez palce, bezpowrotnie stracony. Te same twarze w poradni, te same dolegliwości. Nie dzieje się nic. Atmosfera kiśnie i puchnie niezdrowo. Dreptanie po tych samych ulicach tam i z powrotem, tam i z powrotem - w nieskończoność. Deszcz

pada, jakby miał nastąpić biblijny potop. W starej kurtce wyglądałam tak nijako, że nie zauważam swojego odbicia w szybie wystawowej.

Myślę o kolejnej wizycie Przyjaciela. Jak to zwykle bywa, rozmowa potoczy się inaczej niż sobie zaplanowałam, runie całe moje misternie utkane rusztowanie i trzeba będzie zacząć mozolną pracę od początku.

Zawsze wydaje mi się, że jestem gorsza od innych, że nie mogę, nie potrafię. A potem nagle i niespodziewanie okazuje się, że i owszem. Bo inni okazują się zwyczajni i nudni czasem, i co ważniejsze, dobrze się z tym czują. A nawet robią rzeczy, które ja uważałam za niegodne ich życia. Ja zaś zawsze chciałam piękniej, wznioślej, niecodziennie. Tymczasem wcale się tego ode mnie nie wymaga, wręcz odwrotnie...

No cóż, nie warto było tak się spalać. Nie warto.

\*

Zwykle przesiadywał na przystanku autobusowym, w pobliżu wielkiego kosza na śmieci, który z wielką uwagą przeglądał co jakiś czas. Ludzie wsiadali i wysiadali, autobusy nadjeżdżały z hałasem, ale już się do tego przyzwyczylił. Potrafił nawet uciąć sobie kilkunastominutową drzemkę, opierając wygodnie grzbiet o rozłożyste drzewo, które rosło prawie przy samej ulicy. Ludzie go nie zaczepiali, nawet nie potrącali. Tak, jak gdyby był niewidzialny. Początkowo, kiedy był mniejszy, było mu z tego powodu dosyć przykro, ale później, w miarę jak rósł i nabierał pewnego doświadczenia, zrozumiał, że tak jest lepiej. Ich początkowo przyjazne zainteresowanie potrafiło przerodzić się w coś zgoła innego. Doświadczył tego...

Westchnął ciężko i ruszył na przeszukiwanie kosza. Nie-

stety, oprócz kilku obiecująco wyglądających papierków, nie znalazł nic godnego uwagi. Zniechęcony wrócił pod drzewo i ponownie ułożył się do drzemki. Ale sen nie nadchodził. Jego myśli błąkały się bez celu, nie zatrzymując się na niczym konkretnym. Nie miał wspomnień, nie licząc tej wczorajszej utarczki z małym, natrętnym psem, który codziennie odprowadzał swego pana na przystanek. Mały, starannie utrzymany, wręcz ulizany goguś. Zatrząsał się z obrzydzenia. Jednak gdzieś na dnie tego uczucia leżało coś innego, czego nie umiał nazwać. Nachodziło go to dwa razy do roku, gdzieś w okolicy dni, które ludzie nazywali świętami, a co on rozpoznawał po większych tłumach na przystanku, nerwowości i wypchanych torbach, noszonych tam i z powrotem i pachnących tak zachęcająco...

Przełknął ślinę. Tak. Zdecydowanie tak. Wtedy właśnie czuł się najgorzej. I to nie z powodu głodu. W koszu było w tym okresie dużo lepsze jedzenie niż zwykle. Nie było zresztą sensu rozważać tego wszystkiego. Zapowiadała się zimna noc. Ciaśniej otulił się brudnym szarym futrem, wsunął nos głębiej w okolice przedniej lewej łapy i po chwili już spał.

Ten zapach drażnił go od kilku chwil, zanim zdecydował się otworzyć oczy. Dosłownie w odległości kilku kroków od niego stał, posapując głośno, człowiek. Obok niego leżała na śniegu duża torba, z której wydobywał się cudowny, niesamowity zapach. Wciągnął głęboko powietrze. Stary człowiek obejrzał się.

- Ładnie pachnie, prawda piesku? - zapytał przyjaźnie. Obrzucił przy tym uważnym spojrzeniem zmierzwiłone futro, wystające żebra. To nie był stary pies. Grube, masywne łapy świadczyły, że mogłyby wyrosnąć na duże zwierzę, gdyby był odpowiednio odżywiony. Patrzyli na siebie w milczeniu. Pies co parę chwil przetykał ślinę, a stary widać przeżuwał swoje myśli. Śnieg znowu zaczynał prószyć.

- Jeśli zamierzasz spędzić Wigilię na tym przystanku, to lepiej chodź ze mną - powiedział nagle człowiek w stronę psa, który spojrzał na niego najpierw ze smutkiem, potem z niedowierzaniem. - No chodź, chodź - przynaglał stary ruszając przed siebie. Zapach oddalił się niebezpiecznie.

Pies podniósł się, podszedł parę kroków. Potem zatrzymał się i obejrzał nerwowo w stronę śmietnika - to przynajmniej było pewne. Ale tam też go ciągnęło. Pochylona postać człowieka zmniejszała się w oddali. Przypomnił sobie ciepło jego głosu, bardziej upajające niż zapach wydobywający się z torby. Nikt nigdy nie przemawiał tak do niego. W kilka sekund dogonił starego i tracił nosem jego rękę.

- A jesteś - ucieszył się człowiek. Poklepał go pieszczotliwie po pysku. Aż dreszcz go przeszedł, tak rozkoszna wydała mu się ta pieszczota. Przysunął się bliżej, jak najbliżej nogi starego.

Szli długi czas w milczeniu. Przystawali, człowiek odpoczywał pogadując do zwierzęcia, potem znowu szli, a pies czuł jak z każdym krokiem jego ciało, od czubka nosa aż po koniec ogona, wypełnia coś miękkiego, ciepłego, co przelewało się w jego trzewiach wielką falą.

Czuł, jak między jego żebrami tłucze się jakiś ptak, trzepocząc skrzydłami. W gardle go łaskotało od tego trzepotu... Uczucia te były tak nowe, nieznane, a ich źródło związane było nierozdzielnie z osobą starego. Chciał mu to jakoś okazać, rzucił się więc do przodu, biegał przez chwilę to tu, to tam, aż znalazł oblodzoną gałąź, którą chwycił w zęby i przyciągnął z trudem pod nogi człowieka. Zadowolony usiadł merdając ogonem.

- Cóż to piesku - stary chciał odrzucić gałąź na pobocze, ale widząc wzrok psa zmienił zdanie. - No dobrze rozpalimy tym w piecu.

Na szczęście do domu było już niedaleko.



Całe życie Heleny było czekaniem... Na początku na dorosłość, która była czymś nieskończenie tajemniczym, pachnącym perfumami matki, gdy pochylała się w wieczorowej sukni nad łóżeczkiem całując ją na dobranoc i odpływając w ciemność, gdzieś poza dziecinny pokój. Było też wiele innych spraw drażniących i niepokojących, wywołujących uczucia nie do końca nazwane, na które się czekało.

Dużo później owa dorosłość otoczyła Helenę ze wszystkich stron, podstępnie i zaborczo, topiąc ją prawie w morzu słów bez znaczenia, pustych godzin w czasie których nic się nie działo, bezsensownych znajomości...

### *Marzec*

Nigdy nie lubiłam okresu, kiedy następowało przełamywanie pór roku. To mocowanie budziło we mnie uczucie rozdrażnienia i niepokoję. Może zbyt przypominało mi moje własne zapasy ze sobą? Mój odwieczny brak czasu, uniki przed podejmowaniem ostatecznych decyzji... Wolałam już zimy, niechby najbardziej przywalone śniegiem i mroźne, lata - najbardziej upalne, ale za to konkretne, budzące zaufanie niezmiennością. Nie przerażały mnie letnie deszcze, będące przecież niczym innym jak tylko powierzchownym kaprysem ciągłej pogody. Tak drażniącej w marcu czy kwietniu. Już samo spojrzenie na niebo w tych miesiącach było czymś przygnębiającym. Szaro-olowiane chmury i nagle odkrywający się gdzieś nieoczekiwane skrawki nieskazitelnego błękitu - co za wyrachowanie. Udawałam, że tego nie widzę. Ani nabrzmiewających pąków agrestu, który zazielenił się najwcześniej, ani też innych złudnych przejawów wiosny.

- No widzicie, i po co wam to było - mówiłam z ironią do

tychże krzaków agrestowych, kiedy w kilka dni później marzły pokryte śniegiem, który bezkarnie spadł w nocy. - Trzeba było przespać, przemilczeć, co najmniej do maja, kiedy już wszystko będzie pewne do końca...

Nie słuchały mnie, wiedzione jakimś sobie wiadomym rytmem - rozkwitały. Bez cienia wahania tkwiłam na marginesie ich istnienia, nieustannie szarpana wątpliwościami.

- Teorię to ty masz opanowaną - mówiła z przekąsem Maria.

\*

- Zaraz poznam cię z Maćkiem - powiedział Piotr, słysząc o moich problemach z realizacją pewnego przedsięwzięcia, które leżało mi na sercu od dłuższego czasu. "Kochany Piotruś" - pomyślałam, kiedy zniknął w tłumie zaproszonych gości. Mnie zresztą też porwał ktoś ze znajomych.

- Gdzie się podziewasz - wysapał nad uchem po dobrej półgodzinie mój kolega. - Chodź, już go znalazłem.

Pod ścianą, obok naszego stolika, na jednym skrawku wolnego miejsca stało dwóch mężczyzn zatopionych w rozmowie. Jednego z nich znałam z widzenia, więc musiał to być ten drugi. Piotr, jak gdyby nigdy nic, włączył się do dyskusji, zupełnie o mnie zapominając. Po dobrej chwili, zniecierpliwiona, szarpnęłam go za rękaw, wskazując oczami na nieznanego, który widać zauważył moje manewry, bo uśmiechnął się kątem ust. Piotr przedstawił nas i poszedł sobie. Zaczęłam wyjaśniać, o co mi chodzi.

- Może usiądziemy - przerwał mi Maciek i wskazał wolne miejsce przy stoliku. Paplałam dalej. Słuchał mnie uważnie. Tak uważnie, że w pewnym momencie straciłam wątek, który nagle wydał mi się nieistotny. "Jaki on ciemny i mroczny" - myślałam gdzieś tam w głębi siebie. Starłam się

jednocześnie przeciwstawić się temu spojrzeniu.

- Zatańczymy - powiedziałam nagle, zupełnie ni w pięć ni w dziesięć, tonem wcale nie pytającym. Skinął głową. Dopiero na parkiecie powiedział, że nie umie i nie lubi tańczyć. Było mi to zupełnie obojętne. Nasze oczy były na tej samej wysokości. "Jest równy ze mną, trochę za niski, jak na mężczyznę" - pomyślałam. Patrzyłam na niego spod rzęs, unosząc w lekko ironicznym uśmiechu prawy kącik ust, jak to miałam w zwyczaju, kiedy traciłam pewność siebie.

- Jesteś czarownicą, hipnotyzujesz mnie tym swoim wzrokiem - szepnął mi do ucha. Przytuliłam się do niego wdychając zapach dobrej wody toaletowej. Było mi dobrze.

Wpadłam do klubu zupełnie przypadkowo, po całym dniu wyczerpującej pracy. Byłam zmęczona i głodna. A jego ramiona były takie ciepłe i przytulne. "Dlaczego nie? - usprawiedliwiłam się natychmiast - to przecież nic złego, muszę trochę odpocząć".

Jednak odpoczynek nie był mi dany. Nasze oczy ciągle nie mogły się od siebie oderwać, a próby banalnej rozmowy, którą z powodu zbyt głośnej muzyki trzeba było wszeptywać sobie do ucha, stanowiły pretekst do delikatnych muśnięć wargami. Potem była tylko muzyka...

- Chyba nie wiesz jak działasz na mężczyzn, jesteś niesamowita. Przestańmy już tańczyć, jeśli nie chcesz, żebym zdarł z ciebie ubranie... - usłyszałam nagle. Spojrzałam na niego nieprzytomnie.

- Dlaczego? - zapytałam głupio, wyrwana ze swojego błogostanu. Jego spojrzenie złągodniało.

- Chodźmy do stolika - popchnął mnie przed sobą. Towarzystwo było rozbawione i nikt na szczęście nie zwracał na mnie uwagi. Maciek trzymał mnie za rękę, bawiąc się moimi palcami.

- Czego ty właściwie chcesz? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Niczego wielkiego, trochę ciepła i czułości przez następną godzinę. Jestem taka zmęczona - odgarnęłam włosy. Było mi przykro, zachowywałam się głupio. Przecież to tylko facet i to jeszcze z tych, którzy zaliczają panienki w dużych ilościach. Przy jego zawodzie... - myślałam smętnie.  
- Rzeczywiście, znalazłaś sobie idiotkę obiekt. W głowie ma na pewno wszystko, tylko nie ciepłko pomieszane z czułością. Byłam na siebie coraz bardziej zła...

- Zatańczymy?... - tym razem Maciek wyciągnął mnie na parkiet. Zaraz potem przytulił i pocałował w policzek. Przepraszam - powiedział - ale na wszystko inne potrzeba przecież czasu. Wybacz, że potraktowałem cię tylko jako kobietę...

- Nie szkodzi - mruknęłam - przecież w końcu nią jestem, a że zachciało mi się czego innego...

Pogładził mnie po włosach.

- Jesteś czarownicą...

Miasto było puste i ośnieżone, kiedy wyszliśmy z klubu. Trzymałam rękę w kieszeni jego płaszcza. Niestety, najbliższy postój taksówek był rozpaczliwie blisko. Zanim zatrzasnął za mną drzwi samochodu, przytulił mnie na chwilę i powiedział:

- Uważaj na siebie, wkrótce się zobaczymy.

Wiedziałałam jednak z doświadczenia, że pewnych spotkań, czy też wrażeń nie należy powtarzać. Są tak ulotne, nieuchwytnie, a wszelkie powtórki grożą rozczarowaniem. Milczałam przytomnie, bo i jak to wytłumaczyć mężczyźnie?...

Zadzwoił po tygodniu. Ale był to już inny Maciek i zupełnie inna rozmowa. Żona Piotra, Ewunia nie mogła wyjść ze zdumienia, że już nigdy się z nim nie spotkałam.

- No wiesz, ależ ty jesteś głupia, co ci szkodziło, sprawiałicie wrażenie zakochanych od pierwszego wejrzenia.

Przynajmniej on. A może to był właśnie ten książę, na którego czekasz?! - zapaliła nerwowo papierosa. - Ja bym nie przegapiła takiej okazji - wzruszyła jeszcze raz ramionami nad moją głupotą.

- Jak kocha to zadzwoni - usiłowałam się bronić.

- Wiesz co, moja droga, ja bym nie zadzwoniła, gdyby ktoś mnie tak zbył - dodała patrząc na mnie z niechęcią.

### *Kwiecień*

Dzwoni Iza. Odbieram telefon między jednym i drugim pacjentem.

- Stawiasz szampana - słyszę jej entuzjastyczny głos w słuchawce. A więc udało się, jednak książka będzie wydana. Czuję, jak rosną mi pod fartuchem malutkie skrzydełka. Dla równowagi następna wiadomość jest niemiła - prawdopodobnie nie wypłacą nam jutro poborów, bank zablokował konto. Liczymy, że to tylko pogłoski. Żadna z nas nie obraża sobie, co by było gdyby... Ja i tak już pożyczyłam pieniądze od Marylki (nieoceniona kobieta), od kilku tygodni marzę o pięknych sportowych butach, które widziałam na wystawie. Pani za ladą uśmiecha się. - Została ostatnia para - mówi.

Lżejsza o kilkaset pożyczonych tysięcy i z upragnioną parą butów zmierzam do domu. Nawet nie staram się myśleć, co będzie jutro.

### *Wielkanoc.*

Wczorajszy dzień po prostu zmarnowałam. Miałam całe morze wolnego czasu, ale, niestety, nie mogłam opanować jakiegoś wewnętrznego niepokoju i chaosu. Nawet kiedy sięgnęłam po książkę, litery skakały mi przed oczami, jak gdyby miały swoje własne, niezależne życie.

\*

Przeczytałam jednym tchem opowiadanie Sylwii Plath. Mroczno w nich, wszędzie czai się pierwiastek obłędu i śmierci.

\*

Poczuła gwałtowny ból w lewej stopie - widocznie jakiś kamyk wpadł jej do pantofla. Schyliła się, żeby go wytrząsnąć i nagle wybuchła w niej potrzeba głośnego, rozdzierającego płaczu - takiego, jakim płaczą czasem małe dzieci, kiedy zabiera się im ulubioną zabawkę lub cukierek. Dzisiaj właśnie przydarzyło się i jej coś takiego. Zabrano jej nadzieję. Z trudem zapanowała nad cisnącymi się do oczu łzami. Rozejrzała się za wolną ławką i przysiadła na chwilę. Poczowała, że nie jest w stanie zrobić ani kroku dalej. Obezwładniła ją w jednej chwili świadomość nieszczęścia, które od dziś miało być jej udziałem.

- Jak ja sobie z tym wszystkim sama poradzę - myślała bezradnie, rozglądając się wokół. Przez chwilę ogarnęło ją poczucie nienawiści do świata, który w obliczu tej strasznej rzeczy, która właśnie jej się przytrafiła - pozostaje niewzruszony, chłodny, obojętny... Wyrzuciła wreszcie mały kamyk z pantofla i zdziwiło ją, że zadał jej tyle bólu. Ta zwykła czynność zmobilizowała ją trochę i nawet uśmiechnęła się na myśl, ile to razy przysiadła w swoim życiu na tej ławce, ile dziewczęcych problemów było na niej poruszanych, a później i tych poważniejszych, kobiecych.

-Tyle spraw przeszło i po co była ta cała szarpanina ze światem - pomyślała z rezygnacją.

Nagle przypomniała sobie słowa, które na krótko przed śmiercią napisała zmarła w wieku 36 lat nowozelandzka

pisarka, Katarzyna Mansfield: "Mam wrażenie, że moje życie było zatrzymywaniem się w coraz to innych hotelach". W którymś z nich zresztą umarła samotnie. Przeszły ją dreszcz.

- Jakie to jednak straszne - pomyślała, czując raczej niż rozumiejąc do końca wymowę tego stwierdzenia - jakie to straszne umrzeć w obcych, zimnych ścianach, pod ciekawskim wzrokiem pokojówki, w pościeli o niewiadomym zapachu, która przedtem okrywała tysiąc innych ciał. Taka śmierć jest bezosobowym wydarzeniem, wręcz nietaktem.

Z ulgą podniosła się z ławki... Czas wracać.

- Cokolwiek mi się przytrafi, czas wracać do domu - powiedziała na głos.

\*

- Sama sobie wykreowałaś to nieszczęście - powiedziała Ewa pod koniec kolacji i dodała - że też człowiek sam dla siebie jest najgorszym wrogiem. Zupełnie tego nie rozumiem - skrzywiła z niechęcią pełne usta.

Zapatrzyłam się na jej wargi powleczone warstwą szminki - równie nieskazitelnie teraz, co rano. A wiedziałam przecież, że nie poprawiała makijażu.

- Jak ona to robi - zastanawiałam się słuchając jej jednym uchem. Fakt ten zafrapował mnie w tej chwili bardziej niż moje własne nieszczęśliwe powikłania sercowe, które zresztą zdążyły już przeminać.

Ewa była winna całemu zamieszaniu. Przyszło jej bowiem kiedyś do głowy poznać nas ze sobą - mnie, osobę skomplikowaną i trudną nawet dla siebie samej, oraz owego młodego człowieka, równie pięknego, co powierzchownego i płytkiego. Zapewniało to mojej osobie kilka miesięcy intensywnego cierpienia i szarpaniny, o której wiedziała tylko ona i

kilka zaprzyjaźnionych dziewczyn z naszej paczki. Obiekt mojego uczucia zajmował się spokojnie pracą i miłym spędzaniem wolnych chwil w towarzystwie płci odmiennej. Nie uczestniczył w moim cierpieniu, za co szczerze i z oddaniem go nienawidziłam.

- Dałaś się zdołować takiemu głupkowi - mówiła dalej Ewa. - Zaczynam powątpiewać w twoją inteligencję - dodała złośliwie.

- Łatwo ci mówić - zaperzyłam się. - Ja go kocham, tęsknię za nim, serce mi boli - rozumiesz?

Ewa uśmiechnęła się łagodnie.

- Czy ten mężczyzna spełnił jakiegokolwiek twoje oczekiwania? - spytała.

- No nie - przyznałam szczerze - tyle, że jest taki śliczny - zaskomlałam, czując głupotę tego stwierdzenia. Ewa westchnęła. Rozumiała mnie. Byłam jak psychicznie chory, do którego nic nie dociera.

Wlokłam się ulicami z ciężkim sercem. "Sześć miesięcy wyrzucone z życia" - dumiałam smętnie. Bóg raczy wiedzieć, ile to jeszcze potrwa. Mimo komizmu lub raczej groteski, którą chciałam dostrzec w tej sytuacji, kosztowała mnie ona zbyt wiele nerwów. Postanawiałam codziennie skończyć ze wszystkim. Jednak właściwie nie było z czym, ponieważ to męskie bóstwo nie wykazywało zainteresowania moją osobą, a całe nieszczęście było raczej moim udziałem. A także, jak przypuszczam, wytworem mojej chorej już teraz wyobraźni. Zwykle tak ze mną było, że jeśli już się w coś angażowałam, to całkowicie i bez reszty.

## *Maj*

Już nie budzę się w niedzielę z duszą pełną radości, takiej rozpierającej płuca, która nie wiadomo skąd się bierze, chy-



ba z samego faktu istnienia. Niby cieszy mnie, że świeci słońce i to ono właśnie obudziło mnie; za oknem cały ptasi chór, ale ta radość podszyta jest jakimś smuteczkiem... Nie wyskakuję z łóżka, o nie. Wysuwam się powoli, nieufnie, z niepokojem. Świadoma całej, uprzykrzonej rzeczywistości, która czeka dosłownie za rogiem aż będę gotowa. I zaraz później jak mokra suknia oklei mi ciało.

\*

Stara kobieta wychowywała chłopca w wielkiej miłości do lasu. Wierzyła głęboko w wielką moc uzdrawiania i kojącą właściwość zielonej, gęstej ciszy. Często widywałam tych dwoje, jak trzymając się za ręce znikali za bramą ogrodu, żeby przepadać na długie godziny za ciemnymi konarami drzew. Niecierpliwie czekałam na ich powrót. Przychodzili późno, kiedy znudzona zajmowałam się czym innym. Siadali oboje w kuchni, przesyleni zapachem igliwia. Na stole piętrzyły się grzyby, zioła o cierpkim, podniecającym zapachu, przedziwne jagody, które niania rozkładała na parapecie mrucząc przy tym niezrozumiałe dla mnie słowa. Mały chłopiec siedział nieruchomo zapatrzony w kolekcję szyszek. Żadne z nich nie zauważało mojej obecności. Po każdej takiej wyprawie wydawali się być jacyś inni, bardziej milczący, pełni nieznanym mi tajemnic.

### *Czerwiec*

Zachłystuję się bezmiarem słonecznych, leniwych dni. Ciągłe mi mało grzebania w warzywniku, na tyłach ogrodu. Szeroką falą rozlewa się we mnie poczucie bezpieczeństwa, kiedy znad książki zerkam na niezniszczalną, odwieczną ścianę lasu. Na kwietnikach coraz to inne okazy zakwitają i rozpychając się wygodniej krzyczą - teraz ja, teraz nasza

kolej. Mogłabym takie dni jeść jak wiejski chleb - wielkimi kęsami. Bez obawy o przejedzenie.

\*

Bezszelestnie "Tancerki" Dégasse'a wynurzają się z błękitnych mroków, żeby przybrać postaci zwykłych dziewcząt. Rozglądam się po sali - niedbale ubrane, uczone swoje mężczyzn, zbyt hałaśliwe. Z ulgą wracam do przesyconego szarością błękitu, bladej smukłej dłoni, poprawiających wiązanie przy baletkach. Ich ciała wyglądają jak przesycone światłem księżycy prosto od Debussy'ego. Ktoś szarpie mnie za ramię. Prawda, przecież nie mamy czasu... Spoglądam jeszcze raz na tamte - uwięzione w błękitach.

"Jak to dobrze, że dla nich czas nie istnieje, już nie" - myślę z zawiścią. I nagle marzy mi się, żeby i mnie ktoś tak zamknął w jakichś szarościach i beżach z kroplą morskiej zieleni. Zwierzam się koleżance z tych rojeń. Wzrusza ramionami.

- Pamiętasz jak kiedyś Piotr nalegał, żebyś dała się uwiecznić pewnemu portreciście? - pyta.

- Tak, pamiętam. Tylko, że Piotr mi się nie podobał, nie chciałam od niego niczego.

- Oczywiście - kontynuuje moja przyjaciółka - byłaś wtedy zadurzona po uszy w tym przystojnym głupku z lokalnej gazety, który potraktował cię zresztą jak jeszcze jeden kasek do przeżucia.

Krzywię się z niesmakiem - że też musiała mi o tym wspomnieć właśnie tutaj, w tym miejscu. Nagle przypominam sobie tamto cierpienie, prawie fizyczny ból tęsknoty. A przecież spopielilo się, wygasło...

- Piotr po tym, jak go rzuciłaś, upijał się regularnie - ciągnęła bezlitośnie Ela.

Tak, to był pewnie jedyny facet, który chciał mnie uwie-

cznić - rozmyślałam smętnie. Sama nie wiem, czemu go tak podeptałam, może z zemsty, chociaż nie lubię tego słowa. Pewnie z żalu, że tamten... Boże, jakie to niepotrzebne i skomplikowane. Tak rozpaczliwie mam ochotę wrócić do Dégasse'a i zanurzyć się znowu w bezpieczny, zamrożony w czasie, gest białej dłoni.

\*

Irena czuła namacalnie upływ czasu, który popychał jej związek w coraz to nowe rejony, zmieniając, wbrew jej woli jego jakość, smak. To ją załamywało i odbierało radość bycia z Andrzejem. Nieuchronne zmiany wypychały ją w nurt, którego wcale nie pragnęła poznać, któremu opierała się z całych sił. Coraz częściej zauważała, że wspaniałe ciemne oczy Andrzeja spoczywają na niej jak gdyby przez przypadek, bez należącego zainteresowania. Dotyk dłoni staje się nawykiem. Umieścił ją w swojej hierarchii zdarzeń, wtłoczył w ramy swoje rzeczywistości - myślała rozpaczliwie, szukając wyjścia z sytuacji.

- Czy ty jesteś na tyle głupia myśląc, że reszta życia przejdzie wam na trzymaniu się za rączki? - pytała ją z niedowierzaniem Barbara.

Owszem, była taka głupia. I nie tyle może chodziło o to trzymanie za rączki. Chociaż ciągle czuła niedosyt dotyku jego skóry. Chodziło o ten nieustanny zachwyt nad sobą, o cud bycia razem. No cóż. Widocznie było to tylko jej udziałem. Andrzej zadziwiająco szybko przeszedł nad tym cudem do porządku dziennego.

- Za dużo czytasz - skwitował, ukrócając jej biadolonia nad ludzką naturą, po których zamierzała przejść do idiotycznego babskiego pytania - czy mnie jeszcze kochasz. Siedziała markotna nad herbatą. Sama, z włosami w nieładzie i nie-

umalowaną twarzą. Nagle brzydka i postarzała o całe dziesięciolecia.

- Trzeba coś z tym zrobić - myślała zdeterminowana, przeczuwając klęskę, cierpienie i całe to późniejsze zawirowanie, które знаła, a które niszczyło jej życie na przeciąg kilku miesięcy.

\*

*Gosi Zubryckiej*

Wysupłuję żeton z portmonetki i dzwonię do Gosi. Telefon odbiera jej mąż.

- Daj mi Gośkę - mówię. On jeszcze żartuje, że z nim nie chcę rozmawiać, ale jestem zbyt nieszczęśliwa, żeby dyskutować. Chyba to wyczuwa.

- Gosia, przyjeźdź, potrzebuję rozmowy.

- Zaraz, dam obiad dzieciom - mówi bez zbędnych tłumaczeń.

Jedzie z drugiego końca miasta, żeby być przy mnie. A ja mam znowu problemy. Przyjeżdża po godzinie zdyszana, w domowej sukience. Wykłada na stół papierosy, siada w fotelu i patrzy na mnie bez słowa. Mówię, marudzę, rozczulam się nad sobą, męczę ją swoimi sprawami. I samą mnie śmieszy to, co słyszę - jeszcze jeden nieudany facet w moim życiu. Z tego wszystkiego najbardziej cieszy mnie Gosia. Że jest, że siedzi naprzeciwko mnie.

\*

Opóźniała maksymalnie wyjście z pracy, bo przecież mógł jeszcze zadzwonić. Kiedy jednak sprzątaczką patrzyła na nią wyczekująco - wychodziła. Do domu wracała długo, zatrzymując nieobecny wzrok na odpychająco zimnej szy-

bie, za którą manekiny o pustych oczach patrzyły na nią drwiąco. Kulila się pod ich wzrokiem i szła dalej...

Potem wchodziła do sklepów kupując jedzenie, które, jak wiedziała z doświadczenia, będzie wierciło się i skręcało z niecierpliwości w opakowaniach, aż zatraci swój smak i wygląd. W końcu jednak ogarniała ją wystudzona cisza mieszkania, w którą i tak musiała nieuchronnie się zanurzyć. Postanawiała przez moment, ogarniając je wzrokiem, że dzisiaj będzie inaczej... Ale i tak po wykonaniu prawie mechanicznie i bez zainteresowania paru czynności, zupełnie bezwiednie przygotowywała się do tego misterium czekania... Kawa, alkohol, papierosy. Nerwowe zerkanie na zegar, nasłuchiwanie kroków na schodach. Wszystkie zmysły wyczulone i napięte do ostatnich, bolesnych granic. Gdzieś tam w głębi drzemała myśl, że przecież nawet jak przyjdzie, to niczego to przecież nie zmieni. Oprócz późniejszego niesmaku, że oto znowu zadowolila się okruciami, które on tak łaskawie rozdawał, przecież nie tylko dla niej. Przedtem pusta rozmowa przy stole... Chłoneła ją, żeby w bezsennej noc trawić każde słowo od początku, doszukiwać się jakichś jego ukrytych znaczeń. Tyle miała mu do powiedzenia, tyle rozmów przeprowadziła w wyobraźni, ale brak zainteresowania na jego twarzy sprawiał, że z trudem kleiła zdania...

Wszystko w tym związku było nie tak od samego początku.

- Więc właściwie po co? - zapytała kiedyś.

- Cóż, czasem mnie do ciebie ciągnie - odpowiedział patrząc na wzór tapety, gdzieś poza nią.

Poczuła się zmiażdżona, prawie upokorzona. I ten jego uśmiezek, zarozumiały, bezczelny. Kiedyś nie wytrzymała i powiedziała mu, żeby odszedł, zostawił ją w spokoju. Odwrócił się od drzwi i rzucił:

- Będziesz nieszczęśliwa.

Roześmiała mu się w twarz. Ale wiedziała, że tak będzie.

Potem zaczęła czekać. Nie odwiedzała już nikogo, siedziała wieczorami w fotelu, bo przecież nie można było jej tak zostawić, bez słowa, bez wyjaśnienia, bez walki... Patrzyła na swoje odbicie w lustrze dziwiąc się, że można jej nie kochać.

### *Sierpień*

Upał. Szeroko otwarte drzwi werandy wpuszczają do mroków stołowego pokoju pęki światła. Słyszę jak bije zegar. Czas odpada kawałek po kawałku. Czytam.

- Znowu ta sama książka? - pyta lekko ironicznie moja matka.

Tak. Ale lubię te znajome akapity, przyjazną treść, w której rozsiadam się z miną stałego gościa, prawie przyjaciela domu. Czuję się przytulnie i bezpiecznie. I już właściwie nie obchodzą mnie tak bardzo losy bohaterów. Smakuję zdania, poszczególne słowa. Zachwycam się urokiem niektórych zwrotów. Zanurzam twarz w gąszcz czarnych linijek, chłodny i uporządkowany, wiodący niezmiennie do końca znanego przecież, a więc nie stresującego zwrotami akcji.

Upał powoli stygnie. Lubię ogromnie takie popołudnia starannie oczyszczone z wydarzeń mojego osobistego istnienia, wydarte rzeczywistości, która jak nieproszony gość, nadąsana, przysiadła niedaleko. Czekaając tylko na właściwy moment...

\*

Chodzenie ulicami, do całkowitego zmęczenia, stało się jej nowym nawykiem. Czuła się wtedy wyobcowana z istniejącej rzeczywistości, jakby unosiła się poza czasem i przestrzenią. Jej oczy rejestrowały przesuające się morze ludzi,

spieszących do siebie tylko wiadomych spraw swoimi drogami, do których ona nie miała dostępu. Nawet im tego zazdrościła. Mijali ją obojętnie. Patrzyła na młode dziewczyny, uczone swojeich mężczyzn, wymieniały z nimi jakieś słowa, przeplatając je wybuchami śmiechu, który toczył się po chodniku jeszcze nieskażony jadem przyszłych wydarzeń. Czasem tylko jakiś gest, bardziej czuły niż inne, budził w niej fragmenty wspomnień, ale zaledwie zarys, który na chwilę porażał ją jak iskra, po czym przesunął się wzdłuż ciała ku obolałym nogom...

Widziała oczami wyobraźni te same dziewczyny za kilka lat, dźwigające siatki z zakupami, z uwieszonymi doń zamarkanymi dziećmi, burkliwie odpowiadające coś znużonemu mężczyźnie postępującemu kilka kroków za nimi. Czy był to ten sam chłopak, dla którego wtedy wkładały najpiękniejszą suknię?... Kogo zresztą to obchodziło.

Ktoś czasem zatrzymywał wzrok na jej twarzy ściągniętej i zamkniętej od zewnątrz jak kamienna brama, na długim po kostki, ciemnym płaszczu, czyniącym z niej przedziwną mniszkę z czarnymi skrzydłami włosów. Ktoś czasem usiłował ją zagadnąć i uciekał, poparzony lodem jej wzroku, do tamtych kobiet o nogach przedwcześnie porysowanych siecią żyłaków, do małych mieszkań przesiąkniętych odorem pieluch i kłótni, tego upiornego koktajlu, który sączony codziennie powodował uzależnienie...

\*

Wizyta była niespodziewana. Otworzyłam drzwi z pewną dozą niechęci, już bez tego oszałamiającego trzepotu serca, zwyczajnie, tak jak się otwiera obcemu. Na krótką chwilę ogarnął mnie jednak żal, że minęło... Ruchem stałego bywalca rzucił płaszcz na fotel. Nie powiesił na wieszaku, przed

którym tyle razy go ostrzegałam, a który trzymał się ściany tylko siłą własnej dobrej woli. Więc pamiętał...

Usiedliśmy w kuchni. Nastawiłam wodę na gaz i znów przypominałam sobie, jak kiedyś, całe wieki temu, zanim jeszcze doszło do zerwania, napisałam piosenkę: Usiądziemy sobie przy kuchennym stole, zrobię ci herbatę, może dwie. Mój kolega, kompozytor, który miał napisać do niej muzykę, przeczytał i skrzywił się nieznacznie.

- Wiesz Haneczka, to mi się podoba, ale dlaczego ty zawsze piszesz o czymś, co się skończyło? Napisz wreszcie o uczuciu, które trwa, napisz coś radosnego. Te twoje teksty doprowadzają mnie do depresji.

- Oddawaj - zaperzyłam się - każdy pisze jak umie i czuje.

- Nie, nie to miałem na myśli. Tekst jest świetny, chodzi mi raczej o ciebie. Dlaczego nie potrafisz pisać inaczej? Czy dlatego, że nie umiesz inaczej żyć?

Pominięłam wtedy milczeniem jego wywody. Ale było w tym wiele prawdy. Wszystko, czego dotknęłam, było już w jakimś stopniu przeznaczone na zagładę. We wszystkim dopatrywałam się końca, a nawet starałam się go przyspieszyć z jakąś obłąkaną niecierpliwością, która gonila mnie nie wiadomo dokąd.

Woda zagotowała się, a ja nadal tkwiłam przy kuchence bezmyślnie trzymając w ręce filiżankę.

- Może ja to zrobię? - zapytał.

Otrząsnęłam się z natrętnych wspomnień. Usiedliśmy nad parującą herbatą. Patrzyłam na jego twarz, piękną i mroczną, która jakiś czas temu wydawała się twarzą księcia z bajek mojej niańki. Tak byłam tą urodą zachłyśnięta! Ale książkę mówił rzeczy płaskie i nudne. Musiałam wysłuchiwać nie kończących się opowiastek o pode-rwanych panienkach, czy też narzekań na wszystko. Czas przeciekał przez palce, a ja głupia czekałam, że



wreszcie odezwie się ludzkim głosem.

- Cóż ty chcesz - powiedziała kiedyś koleżanka, której zwierzyłam się ze swoich rozczarowań. - Nigdy w życiu uroda nie szła w parze z rozumem. Albo się z tym pogodzisz, albo nie.

Nie pogodziłam się. Patrzę bez żadnych uczuć na tę twarz i dziwię się, że straciła już władzę nade mną. Trochę tylko szkoda, że tak szybko, bez walki, bez żadnego starania. No cóż, pewnie nie było między nami niczego, o co warto byłoby walczyć.

### *Sierpień*

Sierpniowe noce nie były już takie urokliwe jak czerwcowe, czy majowe. Ptaki przestawały już śpiewać, tylko w suche powietrze, pachnące zwiedłą od upału trawą, wdzierał się metaliczny odgłos świerszczy. Lato pośpiesznie pakowało walizki i już nie było specjalnie zainteresowane upiększaniem ostatnich swoich dni. Czekałam a to na koniec remontu, a to na przeprowadzkę. I właściwie sama już nie wiem na co. Byłam jednak owym Czekaniem tak pochłonięta, że pozostałe czynności spełniałam niejako automatycznie, w nieustannym pośpiechu, który przecież prowadził prostą drogą donikąd...

### *Październik*

Wieczór autorski w Muzeum Historycznym. Jola - wspinała jako gospodyni. Kolega czyta swoje wiersze, ja fragmenty nowej prozy, jeszcze nie publikowanej. To znaczy za mnie prześlicznie czyta Urszula. Później już, przy wielkim zabytkowym stole ci, których najbardziej lubię. Ignacy pięknie śpiewa Cohena, płyną wspominki. Obiecujemy sobie tyle następnych spotkań... Nagle dzwoni telefon, stojący na

podłódze. Podrywam się, kiedy Jolanta podaje mi słuchawkę. Serce zatrzepotało nagle i... usłyszałam głos koleżanki, która gratulowała mi wieczoru przeprasząc jednocześnie, że nie mogła przyjść.

- Czemu nic nie mówisz? - pyta. I nagle olśniło ją widocznie. - Wiem, wiem, to miał być kto inny - westchnęła - jakaś ty głupia.

Czuję, jak na policzki wypływa mi rumieniec. Słyszę trzask odkładanej słuchawki. Wracam do stołu.

- Co to było? - pyta Michał - ktoś cię zdenerwował?

- Tak - odpowiadam. A w duchu przysięgam sobie, że ten ktoś zdenerwował mnie po raz ostatni w życiu. I Bóg jeden wie, jak bardzo się mylę.

### *Listopad*

Męczy mnie infekcja, z którą nie mogę sobie poradzić. Czuję się rozbita i nieszczęśliwa. Nawet sen jest inny niż zwykle, nie przynosi ukojenia. Otwieram nagle oczy w środku nocy, obudzona jakimś koszmarnym majakiem, którego nie potrafię ubrać w słowa. Gdzieś nad ranem, wiercąc się w uwierającej pościeli, przypominam sobie historię, którą opowiedział mi przyjaciel. O swojej chorobie i o tym, że nie wychodząc przez trzy miesiące z pokoju, wiele przez ten czas czytając, zdołał przewartościować, poukładać wszystko w swoim życiu.

- To, kim teraz jestem, zawdzięczam właśnie tamtym chwilom - kończy swoją opowieść.

Patrzę na niego z niedowierzaniem i podziwem. Tak mi trudno znieść czasem samą siebie, tak trudno wygładzić i uporządkować własne wnętrze. I jakaż musiała to być tytaniczna praca i ogromna siła woli, kiedy ma się jeszcze na karku organizm odmawiający posłuszeństwa i wymykający

się spod kontroli! Więc może i ja...

Może los zesłał mi tę paskudną grype, żebym zatrzymała się na chwilę, spojrzała na tę płatanię spraw ważnych i nieważnych, w których się miotam jak mucha w pajęczynie, uplątanej przez nieżyczliwego mi pajaka?



Gniewkowska  
Posmak

ISBN 83-86641-60-6